

magazyn REJSY *razem z dodatkami*

Co mówi nam sztuczna inteligencja, gdy pytamy ją o nas?

● Umie być szczerą do bólu: To nie jest moment, w którym ludziom było potrzebne kolejne wyzwanie...

PLUS TELEMAGAZYN z programem TV oraz zapowiedziami najciekawszych programów



Dziennik Bałtycki *81 lat*

Piątek
9.01.2026

www.dziennikbaltycki.pl

Nr 6 (24 668) // Rok 81
Cena 6,50 zł (w tym 8% VAT)

Kiedys to były bale!
Dawna Polska karnawałowa była głośna i wielobarwna
str. 6-7



Co było w Malborku przed Krzyżakami?
Czyżby... Polska?
str. 10

Ten okropny Mercosur.
Co to jest i czy jest się czego bać?
str. 5



Magazyn Puls

Marek Oramus:
Wraca strach przed tym, jak łatwo spory naród zamienić w stado baranów
str. 22-23

FINANSE

Kiedy kolejki po złoto są najdłuższe?

O inwestowaniu w złoto oraz kryptowaluty rozmawiamy z Maciejem Pełtą z IDF Metale w Katowicach
Czytaj str. 24-25

FELIETON NA FALI

Religia w szkołach nie zwiększa religijności

Władze polskiego Kościoła jednak tego nie widzą. A przecież to tak nie działa...
Czytaj str. 2

KIELNO TRWA DOCHODZENIE W SPRAWIE OBRAZY UCZUĆ RELIGIJNYCH

Bardzo trudna lekcja



Choć z różnych stron słychać apele o wyciszenie emocji i zachowanie spokoju, sprawa krzyża w SP w Kielnie wciąż budzi emocje. W czwartek, 8 stycznia przed szkołą zorganizowano manifestację, w której udział wzięli mieszkańcy i politycy **str. 4**

Nr ISSN 2353-6160

Nr indeksu 350-028



REKLAMA

0311445732



ORKIESTRA KSIĘŻNICZEK

NOWOROCZNY KONCERT WIEDEŃSKI | 2.02. | GDYNIA

NOWOROCZNY KONCERT WIEDEŃSKI 2 | 15.02. | GDAŃSK



TYDZIEŃ Z NASZĄ GAZETĄ

SOBOTA ● Będzie się działo, czyli premiery i zapowiedzi	PONIEDZIAŁEK ● Najważniejsze informacje sportowe z weekendu	WTOREK ● Strefa biznesu – informacje i analizy gospodarcze	ŚRODA ● Porady zdrowotne – medycyna, psychologia	CZWARTEK ● Coś dla miłośników historii kryminalnych...	PIĄTEK ● Cotygodniowe wydanie magazynu Puls
---	---	--	--	--	---

ZAMÓW PRENUMERATĘ: tel. 58 728 08 17 lub prenumerata@prasa.gda.pl, prenumerata@dziennikbaltycki.pl

O d kilku dni media żyją sprawą krzyża, który miał być rękoma zdjęty ze ściany i wyrzucony do kosza przez nauczycielkę ze szkoły w Kielnie, niedaleko Wejherowa. Piszę rzekomo, ponieważ dokładnie nie wiemy jaki był przebieg tego zdarzenia - co tak naprawdę stało się w tej szkole, dlaczego nauczycielka to zrobiła, co się działo przed i po. Ani dyrekcja szkoły, ani nauczycielka, która miała się tego dopuścić nie opowiedziały tej historii, wiadomo jednak, że nauczycielka została zawieszona w pracy, a wobec niej toczy się postępowanie dyscyplinarne oraz prokuratorskie. Dziennikarze Dziennika Bałtyckiego próbowali kontaktować się z dyrekcją szkoły i nauczycielką, aby dociec prawdy, ale nie otrzymali nic więcej poza ogólnikowymi oświadczeniami. Głosy oburzenia popłynęły jednak szeroką falą ze strony polityków PiS, metropolity arcybiskupa gdańskiego Tadeusza Wojdy, a także minister edukacji Barbary Nowackiej z KO.

„Bez względu na to, kto w co wierzy, to każdy ma prawo do poszanowania godności swojej wiary. I to wydaje mi się fundamentalne. Nauczyciele mają specjalny obowiązek pokazywania dzieciom dbałości o wartości, o szacunek. Zachowanie nauczycielki to błąd, który nie powinien mieć miejsca w szkole, to zachowanie, które jest niedopuszczalne” - oceniła minister Barbara Nowacka, znana ze swoich lewicowych poglądów.

I ja się z tymi zdaniem pani minister w pełni zga-

FELIETON NA FALI

Maciej Sandecki,
redaktor naczelny
„Dziennika Bałtyckiego”



RELIGIA W SZKOŁACH NIE ZWIĘKSZA RELIGIJNOŚCI

dzam! Jeśli oczywiście takie zdarzenie miało miejsce, bo ciągle nie znamy perspektywy obwinianej nauczycielki.

Cała ta sytuacja, to wzmożenie mediów, polityków, wiernych i duchownych, po raz kolejny przywołuje jednak pytanie o obecność religii i symboli religijnych w szkołach publicznych?

Ta dyskusja toczy się w Polsce już od ponad 35 lat, kiedy po czasach PRL, przywrócono nauczanie religii w szkołach. I pamiętam, że od samego początku budziło to kontrowersje.

Na murze okalającym moje liceum ktoś wymalował wtedy sprayem wielki napis: „Księża na księżyc”. Chodziłmy w liceum na religię na początku lat 90-tych, ale nikt tym przedmiotem się zbytnio nie przejmował i nie

traktował go poważnie, a raczej był to przedmiot do drwin.

Po ponad 30 latach stan gry jest taki, że na religię, szczególnie w szkołach średnich, uczęszcza bardzo mało uczniów. Za moich czasów na początku lat 90-tych, na religię chodziła cała klasa, oprócz jednej koleżanki, która była innego wyznania.

Dzisiaj, jak pokazują dane z Instytutu Statystyk Kościoła Katolickiego, na religię uczęszcza około połowa uczniów szkół średnich. Z tym, że w dużych miastach jak Gdańsk, Łódź czy Warszawa te procenty są dużo niższe - jedynie 10-25 procent uczniów bierze udział w lekcjach religii. I jest to stały trend obserwowany i opisywany od dekad.

Jakie można z tego wysnuć wnioski?

Wprowadzenie religii do szkół publicznych nie zwiększyło religijności ani wśród młodzieży, ani w całym społeczeństwie, a taki był cel kleru. Wręcz przeciwnie widać wyraźnie, że na przestrzeni ostatnich 30 lat polskie społeczeństwo mocno się sekularyzuje.

Same dane Kościoła wskazują, że znacząco w tym czasie spadła liczba wiernych uczestniczących w niedzielnych mszach. W latach 80-tych i 90-tych odsetek ten sięgał nawet 70 procent, a dziś niespełna 30 proc. Kościoły pustoszeją, co raz mniej osób deklaruje się jako katolików, wzrosła liczba apostazji.

Dlaczego tak się dzieje? Czy ludzie nie potrzebują religii i wiary w Boga? Nie sądzę. Myślę, że wiele z tych osób, które odeszło od Kościoła nadal tego potrzebuje. Nie potrzebują jednak Kościoła, który się narzuca, indoktrynuje, wtrąca do ich prywatnego życia czy wychowania dzieci. Mają dość mieszania się księży w politykę, afer pedofilijskich czy religijnego fanatyzmu.

Władze polskiego Kościoła jakby jednak tego nie widzą. Ich stanowcza reakcja na ograniczenie, przez minister Barbarę Nowacką, lekcji religii z dwóch do jednej w tygodniu, świadczy, że nie wyciągają wniosków z ostatnich dekad. Nadal uważają, że im więcej będzie religii w szkołach, tym młodzież i społeczeństwo będą bardziej religijne. I nie wiem co jeszcze może ich przekonać, że to tak nie działa i może warto sobie czasem odpuścić i pójść inną drogą?

POGODA NA WEEKEND

Piątek

-5°C
-8°C



Wiatr wsch.
20 km/h

Uwaga
Przejściowe zachmurzenia

Sobota

0°C
-2°C



Wiatr płn.-wsch.
24 km/h

Uwaga
Zachmurzenie duże

Niedziela

0°C
-4°C



Wiatr płn.
33 km/h

Uwaga
Opady śniegu

WAŻNE TELEFONY

800 190 590

- numer infolinii NFZ
dotyczącej postępowania w sytuacji
podejrzenia zakażenia koronawirusem

605 602 195

- telefon alarmowy WSSE: służy do powiadamiania
o nagłych sytuacjach zagrożenia
sanitarno-epidemiologicznego

58 77 63 444

- infolinia w sprawie koronawirusa,
czynna w dni powszednie
od godz. 7.00 do godz. 15.00



FOT. PRZEMEK ŚWIDERSKI

FOTOZAGADKA

Kto zgadnie, jaki obiekt widać na fotografii?

Co piątek publikujemy jedno zdjęcie wykonane z użyciem drona i pytamy Państwa, jakie miejsce lub jaki obiekt jest na nim uwieczniony.

Tym razem zagadka tylko z pozoru wydaje się trudna. Na zdjęciu widać obiekt dobrane znany wielu mieszkańcom Trójmiasta.

Łatwo nie będzie, a rozwiązanie zagadki opublikujemy w weekend na naszej stronie internetowej dziennikbaltycki.pl oraz na redakcyjnym facebooku. (AT)

KURSY WALUT

8.1.2026

Kupno/sprzedaż walut Kantor Green, tel. 58 346 02 48, Wrzeszcz przy Manhattanie, Dmowskiego, Grunwaldzka, Morena Carrefour, Rumia Auchan

EUR	416/423 (+)	Kantor Max, Gdańsk, ul. Jagiellońska	EUR	416/423 (+)
USD	357/364 (-)		USD	357/364 (-)
GBP	479/486 (+)		GBP	479/486 (+)
CHF	447/454 (-)		CHF	447/454 (-)

(+) wzrost ceny w stosunku do notowania poprzedniego, (-) spadek ceny w stosunku do notowania poprzedniego, (o) bez zmian

DYŻURNY

„DZIENNIKA BAŁTYCKIEGO”

Pracuję w dziale wydarzeń „Dziennika Bałtyckiego” i czekam na Państwa listy pod adresem: radoslaw.konczynski@polskapress.pl

Radosław
Konczyński



POLSKA i ŚWIAT

KRÓTKO

PIASECZNO

Dymisja po gwałcie na policjantce

Po tym, jak na jaw wyszły informacje dotyczące gwałtu na policjantce na terenie warszawskiego oddziału prewencji w Piasecznie, zdymisjonowany został zastępca dowódcy warszawskiego oddziału prewencji policji w Piasecznie. Informację tę podał RMF24.pl.

Wcześniej w tej jednostce miało dojść do gwałtu oraz innej czynności seksualnej na policjantce.

Powodem dymisji jest nienależyty nadzór nad podwładnymi.

O sprawie w środę, 8 stycznia, poinformowała jako pierwsza Telewizja Republika. W jednostce policji w Piasecznie miało dojść do libacji alkoholowej, po czym jeden z funkcjonariuszy miał zgwałcić młodszą koleżankę oraz zmusić ją do innej czynności seksualnej.

Podejrzany o dokonanie tego czynu został zawieszony w czynnościach służbowych, a sąd zdecydował o jego tymczasowym aresztowaniu na trzy miesiące.

WARSZAWA

Pierwsze posiedzenie Senatu



FOT. PAP/PIOTR NOWAK

Senat, który wczoraj o godz. 11 rozpoczął posiedzenie, zajął się m.in. ustawą o rynku kryptoaktywów, wprowadzającą nadzór KNF nad tym rynkiem, oraz nowelą Kodeksu wyborczego umożliwiającą elektroniczne zbieranie podpisów dla kandydatów w wyborach powszechnych.

AUGUSTÓW

Dźgnął nożem 6-letnią córkę

Sąd Rejonowy w Augustowie aresztował na trzy miesiące 41-latkę, który dźgnął nożem swoją sześciolletnią córkę.

Prokuratura poinformowała PAP, że do próby zabójstwa doszło 29 grudnia 2025 r. w Augustowie. 41-letni mężczyzna przyszedł do mieszkania byłej partnerki, w którym przebywały jego dzieci. Policja ustaliła, że wizyta mężczyzny nie wzbudziła

dziła niepokoju kobiety, gdyż mężczyzna regularnie przychodził w odwiedziny. Jednak tym razem chwycił nóż kuchenny i zaatakował swoją sześciolletnią córkę. Dziewczynka trafiła do szpitala. Augustowski sąd aresztował mężczyznę na trzy miesiące. Sąd też postanowił umieścić go w zakładzie psychiatrycznym. Grozi mu kara dożywotniego więzienia.

SŁOWO ROKU 2025

Decyzją kapituły Słowem Roku 2025 został „dron”, na drugim miejscu znalazło się „weto”, a na trzecim – „kosmos”. Z kolei w plebiscycie internautów zwyciężył „kosmos”, drugi był „dron”, trzecie – „weto”. Plebiscyt organizowany jest przez Instytut Języka Polskiego UW oraz Fundację Języka Polskiego od 15 lat. Co roku wybierane są w nim słowa, które najlepiej odzwierciedlają ważne tematy i wydarzenia minionych 12 miesięcy.

”

Projekt związków partnerskich wejdzie prawdopodobnie na pierwsze lutowe posiedzenie Sejmu

Włodzimierz Czarzasty marszałek Sejmu

Spotkanie prezydenta z premierem. Będzie przełom?

Dorota Kowalska
Warszawa

Relacje między prezydentem a ekipą rządzącą od początku nie należały do łatwych. Spotkanie Karola Nawrockiego z Donaldem Tuskiem może choć trochę ostudzić złe emocje, zwłaszcza że Polacy mają już dość tego ciągłego politycznego sporu.

To może być ważny moment w relacjach Pałac Prezydencki – Kancelaria Premiera. Jeszcze w tym tygodniu, prawdopodobnie dzisiaj, premier Donald Tusk spotka się z prezydentem Karolem Nawrockim. Panowie mają rozmawiać o gwarancjach bezpieczeństwa dla Ukrainy po zawieszeniu broni, sporach o nominacje ambasadorskie, w tym kandydatury Bogdana Klich i Ryszarda Schnepfa, ale tematów, które powinni omówić, jest dużo więcej.

– Liczę, że prezydent Nawrocki skończy pięciomiesięczną politykę sabotażu działań rządu, zwłaszcza w sprawach, które są dla państwa polskiego w tej chwili najważniejsze, czyli w sprawach zagranicznych i bezpieczeństwa – mówił w Porannej rozmowie w RMF FM Marcin Bosacki, wiceszef MSZ i poseł Koalicji Obywatelskiej.

Stwierdził, że prezydent od miesiąca unika kontaktu z przedstawicielami Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

– Od równo trzech miesięcy prezydent Nawrocki nie odpowiada na propozycję kompromisu w sprawie ambasadorów, sformułowaną na piśmie przez ministra Sikorskiego, po osobistej zresztą rozmowie między oboma panami. Miejmy nadzieję, że tego typu działania sabotujące się skończą – dodał Bosacki.

Dopytywany, w jaki sposób premier Donald Tusk chce dogadać się z prezydentem, podkreślił, że padnie zapewne „daleko idąca propozycja kompromisowa”, podobna do tej, jaką przedstawił już minister Sikorski.

– Rozumiemy spory polityczne, ale w kwestiach dla Polski najważniejszych, czyli bezpieczeństwa (...) i nowej polityki Stanów Zjednoczonych, (...) wreszcie będzie otwarcie i rozmowa dorosłych ludzi o najważniejszych



FOT. ADAM JANKOWSKI

Ostatnio prezydent Karol Nawrocki i premier Donald Tusk spotkali się w sierpniu ub. roku

problemach Polski – podsumował wiceminister.

Z kolei wiceminister cyfryzacji Michał Gramatyka, także wczoraj rano w stacji RMF24, wezwał prezydenta Karola Nawrockiego, by ten podpisał ustawę o usługach cyfrowych (będącą implementacją unijnego rozporządzenia DSA, Digital Services Act).

– Dzisiaj platformy cyfrowe działają bez jakiegokolwiek kontroli państwa. Mam głęboką nadzieję, że prezydent podpisze ustawę o usługach cyfrowych. To dobra ustawa – przekonywał Gramatyka, dodając, że w Senacie została ona jeszcze poprawiona.

Gramatyka zapewnił jednocześnie, że minister cyfryzacji, wicepremier Krzysztof Gawłowski jest „do dyspozycji prezydenta”.

Jednym z głównych i wzburzających największe kontrowersje zapisów ustawy jest wprowadzenie zasad moderacji treści w internecie.

– Dziś treści są usuwane na mocy decyzji samych platform. Znikają posty, komentarze, czasem całe profile (jak kiedyś Konfederacja). Polskie państwo nie miało żadnego startu do tych platform – mówił Gramatyka.

Podkreślił, że jeśli nowe prawo weszłoby w życie, to od każdej takiej decyzji przysługiwałoby odwołanie do organu państwowego, konkretnie Urzędu Komunikacji Elektronicznej, gdzie został stwo-

rzony specjalny departament.

Wiceminister odpierał również zarzuty niektórych polityków (wymienił tu Konfederację), że UKE będzie mogło stosować cenzurę.

– Żadnej cenzury nie będzie. Co więcej, tak poprawiliśmy ustawę w Senacie, by decyzja prezesa Urzędu nie była od razu wykonywana – tłumaczył.

Gramatyka wyjaśnił, że jeśli UKE oflaguje jakąś treść i zwróci uwagę platformie cyfrowej, to jeśli użytkownik zwróci się do sądu, to dana publikacja nie będzie mogła zostać usunięta.

To tylko kilka spraw, które należy załatwić, a przecież na akceptację prezydenta Nawrockiego czekają kolejne ustawy, choćby o związkach partnerskich. Szef gabinetu prezydenta Paweł Szefernaker już zapowiedział, że jeśli ta ustawa trafi na biurko Karola Nawrockiego, ten jej nie podpisze. Według prezydenckiego ministra nowe przepisy zrównują związki partnerskie z małżeństwem, a na to nie ma zgody.

Tymczasem, według sondaży Polacy mają już dość sporu na linii prezydent Nawrocki – rząd. O to, jak napięta atmosfera między

dzy premierem a prezydentem wpływa na państwo, zapytano w sondażu United Surveys dla Wirtualnej Polski.

„Czy Pana/i zdaniem konflikt pomiędzy premierem Donaldem Tuskiem a prezydentem Karolem Nawrockim prowadzi do paraliżu państwa i uniemożliwia wprowadzanie koniecznych reform?” – brzmiało pytanie.

Zdecydowana większość respondentów – w sumie aż 76 proc. – odpowiedziała na nie twierdząco. O tym, że klótnie na szczycie działają na niekorzyść państwa, przekonanych było 34 proc. ankietowanych, a odpowiedź „raczej tak” wybrało 42 proc. uczestników badania.

Co ciekawe, Polacy nie wierzą jednak, że stosunki między dwoma pałacami ulegną poprawie.

Z badania United Surveys by IBRIS na zlecenie Wirtualnej Polski, przeprowadzonego zaledwie dwa dni temu wynika, że 84,8 proc. ankietowanych przewiduje złe relacje między Donaldem Tuskiem a Karolem Nawrockim. Najczęściej wskazywaną odpowiedzią było stwierdzenie, że relacje prezydenta z premierem będą „zdecydowanie złe”, co zadeklarowało 44,3 proc. badanych. Kolejne 40,5 proc. uważa, że będą „raczej złe”.

Wiarę w dobrą współpracę deklaruje jedynie 10,6 proc. respondentów.

Współpraca Adam Kielar

Karol Nawrocki otwarcie mówi, że Donald Tusk jest najgorszym premierem w historii III RP, co niczego dobrego ich relacjom nie wróży

HISTORIA

Jak balowano w dawnej Polsce? Jeśli ktoś myśli, że w karnawale umiemy się szampańsko bawić, jest w błędzie. Co tam „domówki”, clubbing, dyskoteki czy nawet eleganckie bale. To zaledwie namiastka tego, jak imprezowano w wiekach minionych. Nasi przodkowie przed postem musieli odreagować więc bawili się szaleńczo.

STR. 6-7



FOT. NAC

KSIAŻKI

Czy historia mogła potoczyć się inaczej, niż sądzimy?

Historia mówi, że tu, gdzie jest dzisiaj Malbork, dawno temu była Pomezania, zamieszkała przez pruskie plemię podbite przez Krzyżaków.

STR. 10

DOCHODZENIE DO PRAWDY

Choć z różnych stron słysząc apele o wyciszenie emocji i zachowanie spokoju, sprawa krzyża w SP w Kielnie wciąż budzi emocje. W czwartek, 8 stycznia pod szkołą zorganizowano manifestację, w której udział wzięli zarówno oburzeni mieszkańcy, jak i liczni przedstawiciele środowisk prawicowych i politycy

Maciej Krajewski, Jacek Wierciński

Nas tutaj w ogóle nie powinno być! - mówił Konrad Niżnik z Konfederacji Korony Polskiej, organizator zgromadzenia. - Sytuacja, która się wydarzyła w tym budynku szkolnym, nie powinna mieć w ogóle miejsca. My w ogóle nie powinniśmy się tym zajmować ani interweniować. Ale niestety stało się inaczej. Nie zgadzamy się, żeby tak traktować krzyż - symbolicznie najważniejszą rzecz dla katolików. Nie chcemy ferować wyroków, od tego jest prokuratura. Żalujemy, że to dopiero teraz następuje.

Uczestnicy pikietu zebrali się z transparentami przed głównym wejściem do placówki, demonstrując nie tylko swą wiarę, ale też solidarność z rodzicami, domagającymi się rozwiązania sprawy. Z powodu obecności polityków nie zabrakło i odniesień do ogólnopolskich konfliktów. Niemniej, głównym tematem pozostawała kwestia krzyża.

Bronimy symbolu naszej wiary

W zgromadzeniu pod szkołą udział wzięli także m.in. posłowie Dorota Arciszewska-Mielewczyk i Michał Kowalski.

- My dzisiaj bronimy krzyża, drodzy państwo. Tak, jesteśmy politykami, radnymi, ale my, nawet kandydując, nie uprawiamy tu polityki. Do wyborów szliśmy z pewnym bagażem wartości i my się nie wstydzimy bronić w Sejmie czy na każdym kroku wartości, które wyznajemy - mówiła Dorota Arciszewska-Mielewczyk. - Krzyż jest naszym znakiem. Jesteśmy katolikami, chrześcijanami, chodzimy do kościoła, chrzczymy dzieci, one idą do komunii. Nie pozwolimy na to, aby bezczeszczono symbol naszej wiary, naszego dorobku narodowego, dorobku kulturowego.

Z kolei Roman Dambek, radny Sejmiku Województwa Pomorskiego, przekazał szkole krucyfiks, stworzony z części dawnego krzyża w Gołubiu - miejscu pamięci kapitana Józefa Dambka, założyciela i komendanta „Gryfa Pomorskiego”.

- Ten krzyż pochodzi z Gołubia, został poświęcony przez arcybiskupa. Pani dyrektor powiedziała, że bardzo ubolewa, że w takich warunkach tak cenna pamiątka jest przekazywana - relacjonował później poseł Kowalski, który wraz z rodzicami spotkał się z dyrektorem SP w Kielnie.

Po wstępnych przemówieniach pod szkołą posłowie wraz z rodzicami poszli właśnie porozmawiać z dyrektorem Joanną Kułagą. Złożyli też w placówce petycję w sprawie krzyża, podpisaną przez ok. 30 osób. Chcą w ten sposób zadbać, by do podobnych incydentów nigdy tu nie doszło.

Podejrzewana o przestępstwo kobieta wskazywana z nazwiska

Przypomnijmy, że afera w stosunkowo niewielkim Kielnie wybuchła po doniesieniach, jakoby nauczycielka, w obecności uczniów, zdjęła zawieszony na ścianie krzyż i wyrzuciła go do kosza. Tak relacjonują to rodzice dzieci:

„...[nauczycielka] zbezcześciła krzyż na oczach dzieci poprzez zdjęcie ze ściany i wyrzucenie do śmietnika z niegodnym nauczyciela komentarzem. Żądamy wyjaśnienia tego haniebnego czynu. Zostały naruszone uczucia religijne dzieci oraz rodziców. Nauczycielka wielokrotnie zdejmowała krzyż i próbowała uświadamiać dzieci, że jest im on niepotrzebny a ona sama nie chce na ten krucyfik patrzeć. Jednakże działania te były bezskuteczne ponieważ dzieci wie-

szali krzyż z powrotem w godne miejsca...” - [pisownia oryginalna] czytamy w treści „zawiadomienia o możliwości popełnienia przestępstwa” datowanego na 17 grudnia 2025 roku.

W dokumencie wskazano, że „krzyże rozwieszone we wszystkich salach lekcyjnych zakupione były przez Radę Sołectwa Kielno na prośbę rodziców i przed powieszeniem poświęcone uroczystie przez Proboszcza Parafii Kielno” i że obok dyrektora szkoły, w której miało miejsce zdarzenie, zaadresowany został także do wiadomości wspomnianego duchownego oraz Wójta Gminy Szemud, Pomorskiego Kuratora Oświaty i Prokuratury Rejonowej w Wejherowie.

Formularz do zbiórki podpisów pod skierowanym do śledczych „listem poparcia”, gdzie wskazano również na towarzyszącą sytuacji rzekomo „wulgarny i pogardliwy komentarz” ze strony nauczycielki i pełną treść zawiadomienia - w tym imię i nazwisko pedagoga, która

miała dopuścić się przestępstwa - upublicznił w portalu społecznościowym jeden z pomorskich samorządowców Prawa i Sprawiedliwości. Polityk jeszcze we wtorek 6 stycznia odmówił rozmowy z „Dziennikiem Bałtyckim” na ten temat. Tego samego dnia o swojej interwencji „w sprawie nauczycielki z Kielna” poinformowali parlamentarzyści PiS, Kazimierz Smoliński i Dorota Arciszewska-Mielewczyk.

„Zawiadomienie” z 17 grudnia do prokuratury nie trafiło

Do opisywanego incydentu doszło 15 grudnia. Na zgłoszeniu kierowanym do wiadomości organów ścigania i innych instytucji, figuruje o dwa dni późniejsza data. Jednak Kuratorium Oświaty w Gdańsku wskazuje, że o sprawie dowiedziało się z e-maila od jednej z pomorskich posłanek dopiero 30 grudnia, a wójt gminy Szemud Ryszard Kalkowski zarzeka się, że do niego informacja dotarła dopiero w pierw-

szych dniach 2026 roku i dlatego 5 stycznia złożył własne zawiadomienie do prokuratury.

- 5 stycznia 2026 roku do Prokuratury Rejonowej w Wejherowie wpłynęło zawiadomienie Wójta Gminy Szemud o podejrzeniu popełnienia przestępstwa - potwierdza, pytany o pierwszy sygnał w sprawie krzyża z Kielna, prokurator Mariusz Duszyński.

Jako rzecznik prasowy zwierzchniej wobec wejherowskiej jednostki Prokuratury Okręgowej w Gdańsku, relacjonuje, że przedmiotem wszczętego w środę 7 stycznia postępowania jest podejrzenie popełnienia przestępstwa obrazy uczuć religijnych innych osób (uczniów), „polegającego na publicznym znieważeniu przedmiotu czci religijnej”.

Czy element stroju jest przedmiotem czci religijnej?

- Przeprowadzenie dochodzenia powierzono Komisariatowi Policji w Szemudzie. 7 stycznia 2026 roku Dyrektor

Szkoły Podstawowej w Kielnie złożyła ustne zawiadomienie o przestępstwie i została przesłuchana w charakterze świadka. W toku dochodzenia zaplanowano wykonanie kolejnych czynności procesowych, to jest przesłuchanie w charakterze świadków uczniów, którzy byli świadkami przedmiotowego zdarzenia, nauczycieli oraz innych osób, które mogą mieć wiedzę dotyczącą przedmiotu postępowania - wylicza prok. Mariusz Duszyński i przypomina, że obraza uczuć religijnych zagrożona jest karą grzywny, ograniczenia wolności lub do 2 lat więzienia.

Jak ustaliliśmy nieoficjalnie, objęty postępowaniem krzyż jest, najprawdopodobniej wykonany z tworzywa sztucznego, elementem zestawu służącego do przebrania się za zakonnik, służącym jako atrybut tej postaci. Strój miał zostać zamówiony przez internet.

Dopytywany o tę kwestię, rzecznik Prokuratury Okręgowej w Gdańsku przyznaje tylko, że faktycznie nie chodzi o tradycyjnie rozumiane dewocjonalia. Zastrzega przy tym, że nie dysponuje fotografią obiektu, który znalazł się w zebranych już materiałach dowodowych, a ocenę tego czy należy go traktować jako „przedmiot czci religijnej” oraz czy doszło do przestępstwa, pozostawia prokuratorowi referentowi nadzorującemu dochodzenie. Podkreśla również, że jest ono jeszcze na bardzo wczesnym etapie i nikomu nie przedstawiono żadnego zarzutu, a decyzja w tej sprawie, nie mówiąc o ewentualnym skierowaniu do sądu oskarżenia lub umorzeniu, wynikać będzie z wielu czynników m.in. tego czy uczniowie zeznają, że rzeczywiście doświadczyli obrazy uczuć religijnych.

Współpraca: Maria Sowisło



FOT. MACIEJ KRAJEWSKI

Pierwsza, nieformalna manifestacja oburzonych mieszkańców w obronie krzyża odbyła się w Kielnie już w święto Trzech Króli

Jesteśmy przeciwko umowie pomiędzy Unią Europejską a krajami Mercosuru i tego zdania nie zmieniliśmy - mówił Stefan Krajewski, minister rolnictwa, tuż przed wyjazdem do Brukseli. Zaraz po święcie Trzech Króli wyznaczono termin spotkania szefów rolniczych resortów unijnych państw. - Podejmujemy działania na arenie międzynarodowej. Jeśli nie uda się nam zbudować mniejszości blokującej, to żeby wprowadzić jak największe klauzule ochronnych, hamulec bezpieczeństwa, żeby rekompensować ewentualne straty rolników i przedsiębiorców. Ale główne zadanie to zaablokowanie tej umowy - tłumaczył Minister Rolnictwa.

To był ostatni moment na tego typu dyskusję. Negocjatorzy unijni i południowoamerykańscy już w 2020 r. zamknęli pierwszy etap rozmów o kształcie umowy. Zgoda większości państw unijnych, bez akceptacji Polski i Francji, miała nastąpić w grudniu minionego roku. Przełożono ją na styczeń. W przyszłym tygodniu, szefowa Komisji Europejskiej, Ursula von der Leyen mogłaby udać się do Paragwaju na podpisanie porozumienia.

Ta umowa nas dobije

Hasła przeciw umowie z Mercosur wzięli na sztandary rolnicy, w tym ci z Żuław. Protestowali dwukrotnie w grudniu, manifestując na trasach szybkiego ruchu, ważnych skrzyżowaniach, rondach. Dziś mają być w Warszawie, najchętniej na swoich traktorach. - Musi boleć, wszyscy muszą odczuć - inaczej protest nie będzie miał sensu, nie trafi do nikogo - mówili przed akcją rolnicy.

Rolnicy w ostatnich latach wychodzą na ulice regularnie. Były akcje Agro Unii m.in. przeciwko wolnemu od ceł importowi zboża ukraińskiego. Na początku 2024 r. hasłem przewodnim były walka z Zielonym Ładem i ponownie, z kontyngentem ukraińskich produktów rolnych.

- Dawno w rolnictwie nie było tak źle. Głównie przez ceny. W skupach stawki są na poziomie sprzed kilku lat, jeśli spojrzeć choćby na pszenicę. A koszty produkcji poszły do góry, nie stały w miejscu. Droższe jest paliwo, nawozy... - mówi Tomasz Dolecki, rolnik z Żuław, jeden z organizatorów protestów w regionie na Pomorzu, odpowiadającym za 20 proc. rodzimej produkcji rolnej. - Koszty produkcji przekraczają coraz bardziej ceny w skupach. Jeszcze z 15 lat temu w większości gospodarzy na Żuławach mogłeś kupić pół świniaka. Teraz nie ma trzody, nie ma hodowli. Mięso było w skupach znacznie tańsze, niż koszty produkcji. Dziś w Polsce praktycznie nikt nie hoduje trzody - taki jest tego skutek. To jest absurd.



FOT. PRZEMEK SWIDERSKI

W grudniu rolnicy protestowali przeciwko umowie Mercosur przy drodze S7

WIDMO MERCOSUR KRAŻY NAD POLSKĄ WSIĄ. CZY JEST SIĘ CZEGO BAĆ?

To kluczowy moment dla handlowej umowy Unie Europejska – Mercosur. Negocjowane od dwóch dekad, partnerstwo z krajami Ameryki Południowej może wejść w życie. Dziś, przeciw układowi z państwami Ameryki Południowej w Warszawie będą protestować rolnicy. – Mercosur nas dobije, bo w rolnictwie źle się dzieje od lat – mówi Tomasz Dolecki, rolnik z Żuław, który jest dziś w Warszawie. Co takiego zawiera ta umowa, że zniszczy rolnictwo w Polsce oraz innych krajach UE? I dlaczego Unia chce taką, niekorzystną umowę podpisać?

Tomasz Chudzyński

A umowa z Mercosur po prostu nas dobije.

Steki z Argentyny bez... ceł

Mercosur tworzą Brazylia, Argentyna, Urugwaj, Paragwaj i Boliwia. Wszystkie słyną z hodowli bydła, trziny cukrowej, także kukurydzy. Cenione są, obok wołowych steków, także argentyńskie wina.

Już pierwsze przymiarki do umowy z Mercosur w roku 1999 wywołały gniew unijnych

rolników (w tamtym czasie oczywiście nie tych z Polski), głównie hodowców bydła, m.in. z Francji i Irlandii. W kolejnych latach Bruksela negocjacje przerywała i wznowiała, narażając się na gniew rolników ze wszystkich państw członkowskich. Polscy rolnicy wskazywali w czasie protestów na zagrożenie dla rodzimych hodowców drobiu, miodu, cukru i innych przetworów.

Umowa między Wspólnym Rynkiem Południa (jak tłumac-

zona jest z hiszpańskiego pełna nazwa Mercosur) a UE zakłada preferencje celne dla niektórych produktów rolnych, takich jak wołowina, drób, nabiał, cukier i etanol. Jednocześnie umowa wprowadza ograniczenia - np. wołowiny do 99 tys. ton rocznie, co odpowiadać ma ok. 1,2 proc. rocznej konsumpcji wołowiny w UE (ok. 8 mln ton). Z kolei kontyngent wieprzowiny z Mercosur ma opiewać na 25 tys. ton rocznie, drobiu na 180 tys. ton, ale wprowadza-

MERCOSUR TWORZĄ BRAZYLIA, ARGENTYNA, URUGWAJ, PARAGWAJ I BOLIWIA. WSZYSTKIE SŁYNĄ Z HODOWLI BYDŁA, TRZCINY CUKROWEJ, TAKŻE KUKURYDZY

dzany stopniowo przez 5 lat. Tyle sam ton wynosi tonaż kontyngentu cukru z Mercosur. UE ma także sprowadzić miód z Ameryki Południowej na zasadach bezcłowych, na poziomie 45 tys. ton (stopniowo przez 5 lat). Zwolennicy umowy wskazują, że to niewiele i europejskiemu rolnictwu nie zagrazi.

Polska, ze swoim cenionym za jakość, wydajnym rolnictwem może jednak na tej współpracy stracić. Mówił o tym choćby Bartosz Mielniczek z Klubu Jagiellońskiego czy Marek Wąsiński, kierownik Zespołu Gospodarki Światowej Polskiego Instytutu Ekonomicznego (ten ostatni ocenił jako wpływ „umiarkowanie negatywny”).

- To będzie sytuacja analogiczna do ukraińskiego zboża - dużo niezdrowego towaru obniżającego cenę. Zaleją nas tanie produkty z Ameryki Południowej. Tanie, bo produkcja odbywa się z użyciem wydajnych, ale uznanych za toksyczne w Unii i od lat zakazanych środków ochrony roślin. W dodatku mają tam taki klimat, że zbiory odbywają się dwa razy do roku. To nierówne warunki, których my na takim rynku nie wytrzymamy. Grozi nam bankructwo. A produkujemy zdrowo, naturalnie - tłumaczy Tomasz Dolecki.

To zresztą argumenty rolników z większości unijnych państw. Protesty farmerów przed świętami przetoczyły się przez całą Unię.

W wymiarze państwowym przeciw umowie z Mercosur protestowały mające duże sektory rolnictwa Polska, Francja i początkowo Włochy. Ostatecznie nie udało się zbudować tzw. mniejszości blokującej - nie przyłączyły się Austria, Słowacja i Węgry. Warszawa i Paryż pozostały w sprzeczności wobec umowy osamotnione. Jak zapowiedzieli premier Donald Tusk, ale i minister Krajewski, jeśli nie uda się zablokować umowy, konieczne będzie wypracowanie ochronnych mechanizmów dla polskiego rolnictwa. Chodzi np. o pomysł wyłączenia polskiego rynku dla towarów z Mercosur, kontrole tych towarów lub formy finansowych rekompensat, a nawet czasowe zawieszanie mechanizmów umowy z Mercosur, gdyby bezcłowy handel z Ameryką Południową zaczął zagrażać europejskiemu rolnictwu.

- Tak naprawdę to nic o żadnych zabezpieczeniach nie wiadomo. Najlepiej byłoby, gdyby

ta umowa w ogóle nie weszła w życie. Wiemy, że będzie ciężko, ale musimy o to walczyć - podkreśla żuławski rolnik.

A jakie są korzyści?

Dlaczego Unia chce taką, jak mówią rolnicy, dewastującą umowę podpisać? Należy zaznaczyć, że wolne od ceł kontyngenty towarów rolnych z Mercosur nie są duże. Jak wskazuje wielu zwolenników tego partnerstwa, eksport z UE do Mercosuru wyniósł 45 mld euro. Ponadto oczekuje się, że porozumienie pozwoli europejskim przedsiębiorstwom zaoszczędzić ponad 4 mld euro na cłach; Dotyczy to w szczególności samochodów, części samochodowych, maszyn różnego rodzaju, chemikaliów, farmaceutyków, odzieży i obuwni, ale też i żywności (czekolady, słodczy, napojów bezalkoholowych). Umowa zapewni również bezcłowy dostęp w ramach kontyngentów na produkty mleczarskie z UE (obecna stawka celna wynosi 28 proc.), głównie sera.

Komisja Europejska wskazuje, że porozumienie ma także wspierać handel i inwestycje w obszarze surowców krytycznych ważnych dla technologii energetycznych i przemysłu UE, w tym technologii zbrojeniowych. Chodzi np. o niob, grafit, lit, tantal, krzem metalurgiczny, mangan i wanad. UE, której Chiny, USA zarzucają słabość, jeśli chce rywalizować w tej globalnej grze (a jej stawką jest gospodarka UE a co za tym idzie miejsca pracy) musi budować swoje handlowe wpływy. W tym wypadku geopolityka przeważa nad rolnictwem.

Tomasz Dolecki nie zgadza się z takim założeniem. Dodaje też, że to kwestia żywności ma „znaczenie strategiczne”.

- Wszyscy wiemy jak działa rynek - tańszy produkt wyprze droższy. W tym wypadku ten droższy jest nasz, rodzimy, zdrowszy i lepszy. W efekcie, część rolników przestanie produkować np. pszenicę, zbankrutuje, zajmie się czymś innym. A my po prostu uzależnimy się od dostaw z Ameryki Południowej. Wyobraźmy sobie teraz, że nadchodzi kryzys, konflikt np. Albo jakiś nieurodzaj w państwach Mercosur. I mentalnie zostajemy bez strategicznej zdolności - czyli produkcji żywności. Na tej umowie skorzystają Niemcy, może jeszcze ktoś. Tylko. Warto spojrzeć na umowę z Mercosur od strony bezpieczeństwa Polski i całej Unii - tłumaczy Dolecki.

JESZCZE JEDEN MAZUR DZISIAJ! BYŁY BALE W KARNAWALE

Jeśli ktoś myśli, że w karnawale umiemy się szampańsko bawić, jest w błędzie. Co tam domówki, clubbing, dyskoteki czy nawet eleganckie bale. To zaledwie namiastka tego, jak imprezowano w wiekach minionych. Nasi przodkowie przed postem musieli odreagować, więc bawili się szaleńczo. Polska szlachta wyspecjalizowała się w kuligach, łączących napad z bronią w rękę, potańcówkę i uprowadzenie

Grażyna Antoniewicz

Suty, hałaśliwy i pełen tańca - taki był karnawał w Polsce wieku XVII i XVIII. Na kilka tygodni wszystko stawało na głowie, a rządy sprawowała królewska para: absurd i groteska. Panowało powszechne obżarstwo, wiele pito, a normy obyczajowe ulegały rozluźnieniu. Bawili się zresztą wówczas wszystkie stany.

Rzeźnicy z toporami

Głośne były bale karnawałowe w Gdańsku. Najślawniejsze urządzano w Dworze Artusa i w domach cechowych: „Na jednej ulicy kuśnierze poprzebierani za Murzynów, ustrojeni w korony ze świecetek na głowach i obręczami w rękach, produkowali słynny zespołowy taniec - moreskę. Na drugiej występowali, skacząc i płaszając, rzeźnicy, potrząsając groźnie swymi toporami. Gdzie indziej jeszcze szyprowie prezentowali taniec marynarzki z obnażonymi mieczami” (za M. Bogucką „Życie codzienne w Gdańsku w XVI-XVII wieku”).

Z karnawałowych zabaw słynął wiek XIX. Ożywiały się wówczas salony i restauracje. Bale, dancingi, rauty, wieczorki tańczące - bawiono się chętnie, z wdziękiem i elegancją. Panie wdziewały piękne suknie, panowie fraki czy smokingi. Bal obowiązkowo zaczynał się polonezem - w pierwszej parze tańczyli najznakomitsi goście. Tańczono polki, kadryle, walce, a kończono nad ranem białym mazurem. Nie mogło zabraknąć, oczywiście, tańca kotylionowego. Losowanie kotylionów bywało często ustawiane, aby połączyć określone osoby. Tańce kotylionowe stanowiły więc dla wodzireja źródło dodatkowych



Śpiewaczka Ewa Bandrowska-Turska na dobroczynnym balu prasy łotewskiej w Rydze. Od lewej siedzą: konsul RP w Rydze Jan Ryniewicz, poseł nadzwyczajny i minister pełnomocny RP na Łotwie Franciszek Charwat, attache prasowego poselstwa RP w Rydze radca Ksawery Glinka, śpiewaczka Ewa Bandrowska-Turska oraz poseł sowiecki w Rydze Stiepan Brodowski

dochodów. Pewien wodzirej z warszawskiej Adrii otrzymał podobno złotą papierośnicę od znanego warszawskiego przemysłowca za umożliwienie mu zatańczenia kotylionowego walca z prześliczną panią Tomasini, żoną ambasadora Włoch.

Giełda małżeńska

Lata 70. XIX wieku przyniosły pochodzącą z Francji modę na bale maskaradowe. Przebiegano się przeważnie za postacie historyczne, bohaterów zna-

nych powieści, rozbójników itp. Sunęły więc po sali piękne Greczynki w antycznych strojach, w objęciach piratów lub korsarzy.

Bale stanowiły dla młodych panien rodzaj giełdy małżeńskiej, na której mogły zaprezentować swoje wdzięki, oczywiście pod czujnym okiem mam, ciotek, babek (tzw. przyzwitek), które pilnowały, aby kandydat do ręki miał odpowiednie koligacje rodzinne i majątek.

Magdalena Samozwaniec (córnica malarza Wojciecha Kos-

saka), wspominając bale z początku ubiegłego wieku, pisała, że panienki miały zwyczaj występować w jednej sukience w ciągu całego karnawału. W ostatki „dziewicza biel” takiej kreacji była już mocno przyszarżała.

Bale, dancingi, rauty, wieczorki tańczące i inne przyjemne chwile to czas, kiedy kobieta mogła pokazać nowe kreacje i zawrzeć interesujące znajomości. Oczywiście, dotyczyło to głównie panien i kobiet wolnych.

Hejnał o północy

Słynne były bale w kasynie oficerskim II Pułku Szwoleżerów Rokitniańskich, który stacjonował w Starogardzie Gdańskim.

- W okresie międzywojennym życie polskiej kawalerii nie ograniczało się wyłącznie do służby wojskowej i walk na polach bitew - opowiada Dariusz Michalski z Muzeum Pułku Szwoleżerów Rokitniańskich. - Oficerowie i ich rodziny tworzyli aktywne środowisko społeczne, w którego centrum znajdowały

się kasyna oficerskie - miejsca spotkań, uroczystości, zabaw oraz balów pułkowych. Kasyno to nie miało nic wspólnego z hazardem - jego nazwa wywodzi się od włoskiego „casino” oznaczającego „mały dom” lub salę spotkań - kontynuuje swoją opowieść Dariusz Michalski. - W kasynie organizowano m.in. koncerty, bale i zabawy taneczne. Bale pułkowe były ważnymi wydarzeniami towarzyskimi. Uczestnikami byli oficerowie pułku i ich rodziny oraz zaproszeni goście, lokalne elity. Ważnym elementem balu była muzyka orkiestry wojskowej. Grano tradycyjne utwory taneczne tamtej epoki: walce, polki, fokstroty i marsze. Na sali dominowały mundury galowe, a panie obowiązkowo miały kreacje wieczorowe.

Różne były zabawy i ceremonie towarzyszące balom, np. odgrywanie hejnału o północy. Stanowił on element tradycji kawalerskiej. Kiedy na zegarze wybijała północ, na salę wkraczał pułkowy trębacz i odgrywał hejnał mariacki na pamiątkę utworzenia pułku w Krakowie, podkreślając tym samym szwoleżerskie związki z tym miastem.

Przez dziurkę od klucza

Wspinała aktorka Bogusława Czosnowska tak wspominała pewien bal:

- Ponieważ ojciec był legionistą, rodzice zostali zaproszeni na Bal Legionistów, który odbywał się w salach Urzędu Województwa Lwowskiego. Wtedy drugi raz widziałam tatę we fraku. Na tym właśnie balu razem z siostrą miałyśmy popis taneczny - nie za pieniądze, ale za pudełko czekoladek.

Młode damy wystąpiły wspólnie z „Wesołą Lwowską Fałką”, czyli Szczepciem i Tońciem.



FOT. ARCHIWUM

„Po co jeździć gdzie indziej, kiedy w Sopotach jest najpiękniej!” – tak się reklamował karnawał w słynnym kurorcie

- Po programie artystycznym dorośli bawili się, a nas umieszczono w cichym pokoiku, żebyśmy spokojnie przespali noc. Moja siostrzyczka i owszem, położyła się spać, ale nie ja! Musiałam ten bal zobaczyć. Po długich poszukiwaniach znalazłam właściwe drzwi i przez dziurkę od klucza śledziłam to, co na sali się działo. A było na co popatrzeć: fraki, galowe mundury, lśniące brylantami toalety, a wszystko rozświetlone blaskiem żyrandoli - rozmarza się Bogusława Czosnowska. - Wodzirejem był wąsaty pułkownik Śniadowski. Do munduru miał przypięty kotylion. Bal rozpoczął się oczywiście polonezem, a zakończył nad ranem białym mazurem.

Sopocki karnawał

- Karnawał zawsze był czasem wyjątkowym, troszeczkę wyjętym z dnia codziennego - opowiada historyk Michał Ślubowski z Muzeum Miasta Sopotu. - Oznaczał czas zabawy. Czas, w którym naturalny porządek dnia codziennego był zaburzony. Organizowano zabawy. W mieście były popisy zręcznościowe, na placu stawiano długi słup wymazany ja-

kimś olejem i trzeba było wspiąć się na niego i zdjąć z wierzchołka kielbasę. Były też popisy aktorów. Takie zabawy lub występy były organizowane przez bractwa religijne czy rzemieślnicze. Na czas karnawału nauczyciele gimnazjum akademickiego przygotowywali z uczniami sztuki teatralne, które grane były na ulicy. - W karnawale bawiono się bowiem nie tylko w pomieszczeniach zamkniętych, ale też na wolnym powietrzu.

- W wieku XIX i XX niezwykle popularne stały się lokale rozrywkowe, kawiarnie, kluby i teatry, w których w okresie karnawału organizowano bale. Takim miejscem w Gdańsku była kawiarnia Dera (Cafe Derra), lokal przy ul. Kartuskiej 22/24 - opowiada Dariusz Michalski. - Ten budynek, choć mocno przebudowany, nadal stoi. I właśnie tam albo w dawnym teatrze Salonka - Teatrze Wilhelm, dawniej Selonke Theater przy Langgarten 31A (ul. Długie Ogrody) organizowano zabawy karnawałowe.

W okresie międzywojennym słynny sopocki karnawał był inicjatywą oddolną. Był to czas, gdy Wolne Miasto

W WIEKU XIX I XX POPULARNE STAŁY SIĘ LOKALE ROZRYWKOWE, KAWIARNIE, KLUBY I TEATRY, W KTÓRYCH W OKRESIE KARNAWAŁU ORGANIZOWANO BALE

Gdańsk borykało się z różnymi problemami, głównie ekonomicznymi. Dlatego ważne było przyciągnięcie turystów zimą do Sopotu. Postanowiono więc zorganizować karnawał. W 1921 roku grupa przedsiębiorców (hotelarzy i restauratorów) zorganizowała pierwszy. Inspiracją były karnawały w Nadrenii. Wystartował on na początku lutego, zaczął się oczywiście od balu, który zorganizowano w Domu Kuracyjnym. Elementem tego karnawału był pochód ulicami Sopotu. Mimo że była zima. Zachęcano, żeby się odpowiednio, pomysłowo przebrać. Stroje kolorowe i efektowne musiały być wcześniej zatwierdzone przez organizatorów. Podczas karnawału był też pokaz mody damskiej, a ostatniego dnia tej imprezy odbywał się bal maskowy.



FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Fotografia grupowa uczestników zabawy karnawałowej. Wśród obecnych widoczny m.in. gen. bryg. Stanisław Bernard Mond (z prawej)

balu powinien być pojawić się wodzirej.

„Był raz bal na sto par, pan wodzirej wprost szalał po sali. Kółko raz, koszyk dwa, a pod oknem samotnie bez pani siedział pan, smutny pan, taki, co to nie pije, nie pali, a tłum szalał, hiszpański walc cud ten wyprawił...” - śpiewał Jerzy Potkowski.

Takim znakomitym wodzirejem był aktor Teatru Wybrzeże Stanisław Michalski, który opowiadał mi przed laty: - Lubiłem śpiewać i tańczyć. Kiedyś, gdy robiłem na aktorskim przyjęciu, redaktor z „Dziennika Bałtyckiego” zaproponował mi poprowadzenie balu dziennikarzy w sopockim Grand Hotelu. Zamarłem, mam być wodzirejem na najbardziej prestiżowym balu na Wybrzeżu? Nie spałem po nocach, ale w końcu zgodziłem się. Ułożyłem sobie plan - muszę zacząć polonezem, a zakończyć mazurem.

Wkrótce poczułem się ekspertem, ale szybko sprowadzono mnie na ziemię. Sądziłem, że znam figury mazura. Myliłem się. Na jakimś balu starszy, dystyngowany mężczyzna spytał: Czy pozwoli pan, że razem zatańczymy? Ja będę udawał kobietę, a pan po-

prowadzi. Zdumiony zgodziłem się. Potem nastąpiła zamiana ról. Jak on tego mazura wykręcał! Zaczęliśmy tańczyć dookoła sali. Dostaliśmy niesamowite brawa. Wszyscy ruszyli za nami na parkiet. Była godzina piąta rano.

Królowa balu

Odwunastej był zawsze wybór miss balu. Zwykle wręczałem 10 dużych serc i panie wchodziły na podium z serduszkami. Wielbiciele stawiali za nimi. Ta dama, która miała za sobą najdłuższy ogonek, zostawała królową.

- Największy bal prowadziłem dla Stoczni Gdańskiej na lodowisku. Kłębili się tłum, nikt nikogo nie mógł znaleźć - wspominał. - Ogłaszałem dramatyczne komunikaty: „poszukuję mojej żony” lub „zginęła zielonooka brunetka, ma na imię Stasia”. Wspaniałe były bale Akademii Medycznej. Ślicznie bawili się leśnicy. Kiedyś salę w sopockim Grand Hotelu zamienili w las. Stały choinki, a wśród drzew zwierzęta.

Jednak, czy zabawa będzie udana, zależy nie od wodzireja, ale od towarzystwa. Więc może to być impreza równie wspaniała, jak najwspanialszy bal.



FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Uczestnicy balu - m.in.: gen. Leonard Skierski (w środku w 1. rzędzie), płk Bolesław Wieniawa-Długoszowski (2. z prawej w 2. rzędzie), gen. Gustaw Orlicz-Dreszer (1. z prawej w 3. rzędzie), ppłk Jan Karcz (1. z lewej w 3. rzędzie) oraz ppłk Janusz Albrecht



FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Uczestnicy balu 1. Pułku Szwoleżerów Józefa Piłsudskiego. Widocznymi m.in.: gen. Bolesław Wieniawa-Długoszowski (klęczy z lewej), płk Antoni Trzaska-Durski (stoi 5. z prawej), żona płk. Trzaski-Durskiego (stoi 6. z prawej)

NIE DA SIĘ? ZAWSZE SIĘ DA. TRZEBA TYLKO WIEDZIEĆ, CZEGO SIĘ CHCE, A PIENIĄDZE SIĘ ZNAJDĄ

Rozmowa z Marzeną Mazur, która z końcem minionego roku odeszła na emeryturę po prawie 40 latach pracy w Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku, w tym 12 na stanowisku dyrektora.

Anna Czerny-Marecka

Na pani oficjalnym pożegnaniu prezydentka Słupska Krystyna Danilecka-Wojewódzka opowiadała, że pamięta panią jako wybitną uczennicę I LO w Słupsku. Jak mówiła, mogła pani bez egzaminu dostać indeks każdego kierunku na każdej uczelni w Polsce, nawet medycyny, a wybrała pani etnografię na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Dlaczego taki był pani wybór?

Muszę sprostować, byłam pierwszym rocznikiem, którego pozbawiono przywileju indeksu za oceny, z wyjątkiem olimpijczyków. Zdawałam więc egzamin. Na etnografię, bo zawsze mi się kojarzyła z podróżami i poznawaniem różnych kultur. A Poznania dlatego, że był najbliżej z pięciu uczelni w Polsce, na których była etnografia. To były kameralne studia, trzynaście osób na roku. Dużo jeździliśmy w teren, na obozy międzyuczelniane, badania. Uczono nas, jak robić wywiady z ludźmi, żeby chcieli wpuścić nas do domów i rozmawiać. Mówiono nam na przykład, że nawet w najbardziej domu trzeba znaleźć coś, czym można się zachwycić. I że nigdy nie należy odmawiać wypicia herbaty, chociażby szklanka nie lśniła czystością. Pozwalało też studentom na dużą samodzielność i szukanie własnych ścieżek rozwoju. Pracę magisterką pisałam o ludowej religijności na Warmii na przykładzie Sanktuarium Maryjnego w Gietrzwałdzie. Siedziałam godzinami w kurii biskupiej, gdzie dotarłam między innymi do informacji o wizjonerkach z Gietrzwałdu. Zinventaryzowałam wszystkie kapliczki i krzyże przydrożne w parafii. Badałam, kto w jakim celu je stawiał. Bardzo ciekawe rzeczy wyszły. No i przy okazji, to kolejna umiejętność wyniesiona z uczelni, nauczyłam się robić zdjęcia. Mielismy pracownię fotograficzną i wypożyczaliśmy aparaty, bo nie było nas stać, żeby sobie je kupić. Z pasją

strzelałam zdjęcia kapliczek, po czym, jak je wywołałam, okazało się, że mi się na nich drzewa odbijały i nie było widać figurek. Dopiero na drugi rok pojechałam ze mną Piotr, mój obecny mąż, i po prostu pomagał mi, otwierając te kapliczki. Co ciekawe, mieszkańcy, widząc, jak się tymi kapliczkami interesuję, wypytuję, fotografuję, poodnawiali je. Tak więc etnografia pozwoliła mi na mnóstwo badań terenowych, rozwijanie zainteresowań kulturą, a poza tym na-

uczyłam się łatwego nawiązywania kontaktów, co potem niejednokrotnie mi się przydawało.

Po studiach zdecydowała się pani wrócić do Słupska. Czy od razu z zamiarem podjęcia pracy w Muzeum Pomorza Środkowego? Nie kusiły pani większe ośrodki i nowocześniejsze placówki? Jakiego były powody takiej decyzji?

Życiowe. Chciałam wrócić do swojego rodzinnego miasta. Nasze pokolenie często wracało po studiach, to były inne czasy, nie stać nas było

na wynajem mieszkań w innych miastach. Miałam propozycję pracy w zamku w Bytowie, gdzie tworzone było muzeum, ale wybrałam Słupsk. I dobrze trafiłam, bo tutaj pracowali już wtedy Henryk Soja i Roma, czyli Hugona Ostrowska-Wójcik, także po Poznaniu. Wszyscy pisaliśmy prace u profesora Wojciecha Burszty, a to był tuż w świecie etnografii. Tak że bardzo łatwo nam się nawiązał kontakt mimo różnicy wieku. Rankiem spotykaliśmy się i marzyliśmy o różnych rzeczach. I oni nauczyli

mnie, że nigdy nie jest tak, że się nie da. Że jak coś jest do zrobienia, to się robi, znajduje sposoby. Po prostu trzeba to zrobić, nie obawiać się.

Mieczysław Jaroszewicz, pani poprzednik na stanowisku dyrektora MPŚ, mówił na tym pożegnalnym spotkaniu, że namawiał panią 12 lat temu na start w konkursie na dyrektora, ale pani wołała zostać w oddziale w Swołowie, w którym pani w tym czasie pracowała. Dopiero, jego zdaniem, marszałek po-

morski Mieczysław Struk panią przekonał i wystartowała pani w drugim konkursie, gdy pierwszy nie został rozstrzygnięty. Nie wierzyła pani, że da radę?

Nie miałam takich planów. Cieszyłam się skansenem w Swołowie, który się pięknie powiększał i rozwijał. I dobrze mi z tym było. Bardzo lubiłam organizować wystawy i trochę ich już miałam na swoim koncie, a to też jest sztuka, dobrą ekspozycję przygotować. Nie dość, że miałam ciekawą pracę, to jeszcze bezpieczną. A stano-



Impreza pożegnalna: Marzenie Mazur podarowano kilka jej portretów, na tym zdjęciu jeden z nich, autorstwa Wojciecha Stefańca, wręcza prezydent Słupska Krystyna Danilecka-Wojewódzka

wisko dyrektora jest kaden-
cyjne. „A jak sobie nie pora-
dę, to gdzie potem będę ro-
boty szukać?” – myślałam.
Kompletnie więc mnie bycie
dyrektorem nie interesowało.
No ale po pierwszym, nieroz-
strzygniętym konkursie, za-
częło się dyskusowanie, czy
ktoś jednak z Muzeum nie
chciałby startować. Marszał-
ek pomorski Mieczysław Struk
zbijał moje argumenty i
przekonywał, że sobie pora-
dę. No i ostatecznie zdecy-
dowałam się złożyć doku-
menty i zostałam jednogło-
śnie przez komisję konkur-
sową wybrana. Mocno mnie
zresztą przemaglowali. Mu-
siałam też przygotować kon-
cepcję na pięcioletnią kaden-
cję. Na drugą zostałam już
powołana bez konkursu, wła-
śnie do 2025 roku, po akcep-
tacji kolejnej koncepcji przez
ministra kultury i dziedzic-
twa narodowego.

**Czy obejmując stanowisko
dyrektora, zdawała pani so-
bie sprawę, że, trochę żartu-
jąc, powinna pani też skoń-
czyć jakiś wydział budownic-
twa na politechnice, ponie-
waż wiele lat spędziła pani
na budowie – doprowadzając
do końca generalne remonty
dwóch muzealnych spichle-
rzy. Chyba nie było to proste?**

To były nie tylko dwa zrujno-
wane spichlerze w Słupsku,
które po generalnym remon-
cie służył celom wystawo-
wym, edukacyjnym i jako
pracownie, ale i nowe za-
grody w Swołowie i Klukach.
Ciekawe doświadczenie. Na-
uczyłam się czytać projekty,
widzieć w nich to, co po-
winno być: gdzie okna, gdzie
drzwi, gdzie jakieś instalacje
przebiegają. I wprowadziłam
przy każdej inwestycji za-
sadę, że powołujemy zespół,
w którym są między innymi
projektant, konserwator za-
bytków, wykonawca, specja-
liści od księgowości i zamó-
wień oraz my jako inwestor.
Ta nieformalna rada inwesty-
cji spotykała się co dwa tygo-
dnie, żeby na bieżąco wska-
zywać, omawiać i rozwiązy-
wać problemy. Nie tylko me-
rytoryczne, ale też finan-
sowe. Miałam również szcze-
ście do dobrych inspektorów
budowlanych i dobrych firm.
My z reguły staraliśmy się
przygotować projekt kom-
pleksowo. Czyli planowaliśmy
nie tylko rewitalizację,
ale też wyposażenie. Pracowa-
liśmy nad tym równolegle.
Bardzo konkretnie. Na przy-
kład kuratorzy wystaw przy-
gotowywali wykaz obiektów,
jakie będą chcieli pokazać
w nowych wnętrzach. Bo jak
ktoś ma zaaranżować prze-
strzeń, jak nie będzie wie-
dział, co ma w niej być? Poza
tym nie byłam zwolennikiem
prowadzenia inwestycji
na zasadzie „zaprojektuj, wy-



Otwarcie Czerwonego Spichlerza w 2025 roku, który stoi w sąsiedztwie wcześniej wyremontowanego Białego Spichlerza. Dyrektor Mazur w niebieskiej bluzce, obok niej z lewej konserwator zabytków Krystyna Mazurkiewicz-Palacz, z prawej marszałek Mieczysław Struk

buduj”, ponieważ w tej me-
todzie dosyć łatwo popaść
w taką zależność, że projek-
tant sam sobie będzie robił
zmiany. Sam sobie będzie je
zatwierdzał. Ja chciałam
mieć większy nadzór nad in-
westycją. Może to trudniej-
sze, ale ostatecznie bardziej
skuteczne w osiągnięciu celu,
jaki się założyło.

**A pieniądze? Marszałek jest
dla MPŚ hojny, ale nie dałoby
się tego wszystkiego wybu-
dować bez pieniędzy ze-
wnętrznych.**

Na pieniądze marszałkow-
skie nie mogłam narzekać.
Ale rzeczywiście trzeba było
też szukać innych źródeł fi-
nansowania. Kiedy pojawiły
się środki unijne, zaczęłam
się tym mocno interesować,
jeździć na kursy, szkolenia,
słuchać o zasobach ludzkich,
priorytetach, działaniach. To
było czasami takie euro-ba-
janie. Bo jakie zasoby ludzkie,
przecież to po prostu pracow-
nicy. Do końca nie zawsze
wiedziałam, o czym oni mó-
wią, a jednak te szkolenia na-
uczyły mnie, że żeby coś zre-
alizować, to trzeba najpierw
wiedzieć, po co się chce to
zrobić, dla kogo i co ma być
treścią. I wtedy dopiero szu-
kać środków. Myślę, że powo-
dzenie tych naszych projek-
tów, które w Muzeum prze-
prowadziliśmy z kolegami
i koleżankami, polegało
na tym, że wiedzieliśmy,
po co chcemy remontować te

obiekty. Co my chcemy po-
wiedzieć ludziom w tych
obiekтах. Byłam kiedyś
na konferencji w Gdańsku,
na której o tym dyskutowali-
śmy. Było to po pierwszym
rozdaniu funduszy unijnych.
Podkreślano, że w Polsce
wszyscy się na nie rzucili
i budowali takie puste sko-
rupy, w których nic się potem
nie działo. A my wiedzieli-
śmy, po co chcemy te spichle-
rze, dlaczego potrzebujemy
przestrzeni na wystawy, edu-
kację, pracownie i magazyny.
Podobnie w Swołowie
i w Klukach. Chcieliśmy po-
kazać życie na dawnej wsi,
potem poszliśmy dalej, żeby
pokazać historię tej ziemi
i tych miejsc.

**Czy od razu, te 12 lat temu,
miała pani jakiś model zarzą-**

**dzania tak dużym, około
100-osobowym zespołem
rozproszonym po wielu mie-
scach, czy uczyła się pani
stopniowo, na swoich błę-
dach? Jaki styl zarządzania
pani obrała?**

Zespół muzealników jest na-
prawdę fajny, pracowity. Wia-
domo, że to jest specyficzna
praca, są kustosze, konserwa-
torzy, rzemieślnicy, technicy.
Mamy osoby, które zostały
przyjęte do nas po zamknię-
ciu fabryk. Zobaczyli, jak cie-
kawo może być inna praca,
nie taka przy taśmie, i bardzo
to docenili. Może zarobki nie
są najwyższe, choć uważam,
że dziś lepsze jak jeszcze
przed dwudziestu laty, ale jest
coś w zamyśleniu. Praca jest sta-
bilna, choć zwariowana cza-
sami, bo jak szykuje się wy-
stawa, to terminy gonią. Poza

tym daje dużą satysfakcję. Bo
można się w niej realizować.
Odpowiadając zaś na pytanie
o styl zarządzania, przyjęłam
taki, żeby nie narzucać ni-
czego pracownikom, bo tylko
wtedy oni się rozwijają.
Trzeba im tylko pokazać
ścieżkę, pomóc załatwić pie-
niądze. I zachęcać do zdoby-
wania nowych doświadczeń,
wiedzy i umiejętności. Za-
wsze chętnie zgadzałam się
na ich wyjazdy na szkolenia,
kursy czy do innych placów-
ek. Poza tym poznałam
wszystkich pracowników
osobiście. Bardzo dużo jeź-
dziłam do naszych oddzia-
łów, żeby sobie z każdym po-
rozmawiać. I prosiłam o to,
żeby powiedzieli, czego po-
trzebują. Lubiłam chodzić
także po spichlerzu i zamku.
Kiedy ci ludzie sobie siedzieli
na swoich miejscach pracy,
podobnie w oddziałach. I za-
wsze podkreślałam, że u mnie
drzwi są dla nich otwarte. Sta-
rałam się także być na wszyst-
kich organizowanych przez
nas imprezach, żeby docenić
ludzi, którzy je zrobili. Co
więcej, od kilku lat odbywali-
śmy raz na rok bardzo
owocne spotkania. Nazwali-
śmy to seminarium we-
wnętrznym. Z prezentacjami,
w swobodnej atmosferze
i z udziałem wszystkich, żeby
pracownicy merytoryczni,
techniczni, administracyjni
poznawali nawzajem swoją
pracę. Bo ja wiedziałam, co
kto robi, ale chciałam, żeby

oni też to wiedzieli. I te semi-
naria bardzo nas ze sobą spa-
jały. Tak że mój styl zarządza-
nia określiłabym jako otwarty,
życzliwy i bez nadęcia.

**Pozamykała pani wszystkie
sprawy? Czy coś zostało już
dla nowego dyrektora?**

Zostawiam taki sejf z różnymi
projektami. Zawsze uważa-
łam, że trzeba mieć gotowe
projekty, żeby je zgłosić, jak
pojawią się odpowiedni kon-
kursy. Bo zwykle w takich kon-
kursach jest niedługi okres
na zgłoszenia. Udało nam się
między innymi pozyskać
środki na kolejne budynki dla
Swołowa. Powstał też pomysł
i są pieniądze na przebudowę
Spichlerza Richtera w Słup-
sku. Gotowa jest także kon-
cepcja ożywienia Czystej,
w której kupiliśmy kilka hek-
tarów ziemi i obiekty. Przygo-
towałam ją jeszcze śp. Henryk
Soja. To pomysł stworzenia
w Czystej centrum kształce-
nia w starych rzemiosłach, jak
krycie dachów trzcina, napra-
wianie ścian szachulcowych,
ceramika czy plecionkarstwo.
Mamy tam kupiony wiatrak,
w którym można by pokazy-
wać sposób mielenia ziarna
i wypiekanie chleba. Obiekty są
zabezpieczone, ale na razie
na fali jest Swołowo, które się
świetnie rozwija. Mamy już
projekty na dwie wielkie za-
grody, które ostatnio pozys-
kaliśmy. Jedną mamy zakon-
traktowaną z programu Fun-
dusze Europejskie dla Pomo-
rza. Natomiast drugą, prze-
znaczoną na cele komercyjne,
w tym hotel, finansować bę-
dzie samorząd województwa.
Projektów pozostawiam więc
po sobie dużo i mam nadzieję,
że nowy dyrektor będzie je
kontynuował, że podejmie to
wyzwanie. Zresztą rozmawia-
liśmy i on ma świadomość, że
to są duże miliony do przero-
bienia. Czemu miałby sobie
nie poradzić? Ma dobry ze-
spół merytoryczny, ale też i fi-
nansowy.

**A co pani będzie robić
na emeryturze? Bo w trakcie
rozmowy trudno nie zauwa-
żyć, jak bardzo nadal żyje
pani pracą w MPŚ?**

Lubię zacisze domowe, spa-
cery po lesie, poza tym mogę
udzielać się w stowarzysze-
niach. Na przykład utworzyli-
śmy niedawno Koło Emery-
towanych Pracowników Mu-
zeum. Działam też w radach
muzeów w Bytowie i Koszali-
nie. No i podróże, zawsze je
lubiłam. Może na początek
do przyjaciół do Krakowa?
A może, tym razem prywatnie,
do Środkowej Frankonii,
z którą jako MPŚ rozkręcili-
śmy bardzo dobrą współ-
pracę? Ci, którzy mnie znają,
śmieją się, że zaraz pewnie ja-
kiś projekt wymyślę i będę
działać. No nie wiem, na razie
muszę odpasać.
©©

KILKA FAKTÓW O MPŚ

**Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku posiada
ponad 30 000 muzealiów i księgozbiór liczący ponad
22 000 woluminów.**

Zbiory zawierają obiekty związane z historią Pomorza,
sztukę dawną i współczesną, rzemiosło historyczne, pa-
miątki po ostatnich mieszkańcach zamku, numizmaty,
obiekty etnograficzne i pamiątki po pierwszych polskich
mieszkańcach. Największą dumą MPŚ jest największa na świecie kolekcja
prac Stanisława Ignacego Witkiewicza – Witkacego. Poza Słupskiem, gdzie MPŚ ma Zamek Książąt Pomor-
skich, Młyn Zamkowy, Spichlerze - Richtera, Białą i Czer-
woną, działają dwa muzealne oddziały: Muzeum Wsi Sło-
wińskiej w Klukach oraz Muzeum Kultury Ludowej Pomo-
rza w Swołowie.

Jacek Albrecht w Malborku obecnie najbardziej znany jest jako artysta plastyk. Ale z wykształcenia jest konserwatorem zabytków. Pasja do historycznych poszukiwań pozostała w nim do dzisiaj.

- Mieszkańcem Malborka jestem od małego. Zamek to była najpierw fascynacja dzieciństwa, zabawy na zamku, na Starym Mieście. Potem kolejne szkoły, dochodzenie do specjalizacji zawodowej, którą w końcu stała się konserwacja zabytków w zakresie ratownictwa i awarii w konstrukcjach zabytkowych, więc jakąś wiedzę i jakiś pogląd zawodowy też uzyskałem - mówi Jacek Albrecht, autor książki „Malbork przed Krzyżakami”.

Niemiecka i polska perspektywa

Sam tytuł może frapować. Historia przecież jasno głosi, że Malbork zaczął się od Krzyżaków, którzy w latach 80. XIII wieku zaczęli tu budowę zamku, w początkach XIV w. czyniąc z niego stolicę państwa zakonnego.

- Obowiązuje historia tego miejsca napisana przez Niemców z ich perspektywy i jakby dla ich propagandy narodowej. Rozumiem to, szanuję, ale my jesteśmy Polakami i do zajęcia się tematem skłoniła mnie polska perspektywa historyczna, idąc trochę za słowami marszałka Piłsudskiego: „Piszcie swoją historię, bo napiszą ją za was i zrobią to źle” - cytuje Jacek Albrecht.

Mówiąc o niemieckiej perspektywie, ma na myśli badania i prace konserwatorskie przeprowadzone w XIX w., a zwłaszcza na przełomie XIX i XX wieku, gdy zamek był odbudowany w duchu historycznym, rycerskim i krzyżackim. Autor książki podkreśla, że ogrom pracy konserwatorów niemieckich budzi podziw i szacunek, ale wadą jest ograniczenie prac do kompleksu zamkowego.

- Pozostały również obszary, których nie zdążono zbadać i zrekonstruować do wybuchu II wojny światowej, jak duże obszary przedzamcza, czy należące do zamku budowle zewnętrzne, jak zabudowa wzdłuż Młynówki, kościoły, hospicja, cmentarze oraz ogrody i folwarki zamkowe - uważa Jacek Albrecht. - Badacze niemieccy skupili się na dziejach ich nacji na tych ziemiach i takie ich prawo. Nasze natomiast prawo jako Polaków i nasz obowiązek to szukać śladów polskich w historii tej ziemi.

I takich doszukuje się ten malborczyk.

- Ta część Pomezania przed Krzyżakami należała do Pomorza Gdańskiego jako dzielnicy Polski. To jest udo wodnione. Ja się nie kłócę, że tutaj inaczej było, niż to jest opi-



Jacek Albrecht uważa, że przed Malborkiem był Zantyr i należał do Polski

PRZED KRZYŻAKAMI BYŁA POLSKA A NIE PRUSOWIE? PASJONAT ŚLEDZI MURY

Specjaliści uznaliby tę koncepcję za historię alternatywną albo po prostu legendę. Historia mówi przecież, że tu, gdzie jest dzisiaj Malbork, dawno temu była Pomezania, zamieszkała przez pruskie plemię podbite przez Krzyżaków. Malborczyk Jacek Albrecht, autor książki „Malbork przed Krzyżakami”, kreśli inną historię: przed zakonem tu była Polska.

Radosław Konczyński

sane przez historyków. Tylko że ciągle krąży opowieść niemiecka, że Krzyżacy przyjechali tutaj, żeby podbić te ziemie właśnie od Prusów. To jest część prawdy. Tak, byli Prusowie, z którymi były wojny, powstania pruskie, ale to wszystko dzieje się bardziej na wschód. Natomiast tu, gdzie my jesteśmy - nie, tu jest Polska. Ale potem oczywiście jest walka na wszystkich frontach, czyli walka propagandowa, walka militarna o to, żeby przejąć ten teren na stronę niemiecką, przy czym ja twierdzę, że Krzyżacy w tamtym okresie, do połowy XIII wieku, są tylko narzędziem, przedmiotem, a podmiotem działań jest cesarz niemiecki - mówi Jacek Albrecht.

I rysuje swój pomysł na obszar dzisiejszego Malborka

przed przybyciem tu Krzyżaków. Jego zdaniem, tu był Zantyr. Nie pruski, nie krzyżacki, tylko polski.

- Wszyscy wiemy, że miasto Malbork przed Krzyżakami nie istniało. Założyli go przecież rycerze zakonnicy, nadając nazwę i prawa miejskie w 1286 roku, co odnotowała kronika Piotra z Dusburga, wprowadzając krzyżacką i znaną jedynie z późniejszych odpisów, ale jej tu raczej wierzymy. Zresztą, Malbork na-

zywał się wówczas Marienburg. Nazwa ta pojawiła się najpierw jako nazwa nowego zamku, do którego przeniósł się konwent z Zantyr, a od niej dopiero przeniesiono ją na miasto - wyjaśnia Jacek Albrecht.

Zantyr był tutaj?

Według autora książki, legendarny Zantyr, w literaturze historycznej umiejscowiony raczej w okolicach Sztumu, istniał właśnie w miejscu dzisiaj-

szego Starego Miasta w Malborku i Zamku Wysokiego. W swoich rozważaniach sięga aż do czasów Bolesława Chrobrego, który przyłączył do Polski Pomorze Gdańskie.

- Jego gród Owidz odkryto niezbyt daleko, bo koło Starogardu Gdańskiego. Profesor Jan Powierski wspomina o nowych badaniach grodzisk w Pomezanii, określających je jako polskie do granicy na Osie i rzece Dzierżoń. Chrobry mógł postawić też gród nad dogodnym brodem nad Nogatem na trasie „szlaku bursztynowego” w miejsce wcześniejszego „miejsca obronnego” przy przeprawie. Biegł ów szlak handlowy od Elbląga na północ do Gdańska i krzyżował się ze szlakiem wodnym od Wisły oraz lądowym biegnącym skarpą rzeczną. Takie skrzyżowanie szlaków w języku starosłowiańskim nazywano według Powierskiego Zantyr - twierdzi Jacek Albrecht.

Jego zdaniem, do połowy XIII w. konkurowały tu cztery siły.

- Był żywioł pruski pokojowo migrujący ze wschodu, zasiedlając puste terytoria leśne na pograniczu z Polską. Był żywioł polski tworzący zręby państwowe od czasu Bolesława Chrobrego obejmujące Pomorze Gdańskie, ale też zachodnią Pomezanię i połowę Żuław. Powstały grody obronne jak grodzisko Owidz w okolicy czy Zantyr. Był też żywioł duński, bo zamierzali oni zamienić Bałtyk w morze wewnętrzne swojego państwa. Zorganizowali w roku 1210 wielką wyprawę krzyżową wybrzeżem zajmując po drodze i hołdując sobie prowincje polskie i osadzając własne załogi w zamkach jak na przykład w Słupsku. Zakładali też klasztory cystersów, między innymi w Oliwie. Po załamaniu się potęgi Danii reprezentującej interesy papieża pojawił się na scenie żywioł niemiecki, powoli wypierając Duńczyków i ich formy organizacyjne - wyjaśnia Jacek Albrecht.

Autor książki w dzisiejszym Malborku, a jego zdaniem ówczesnym Zantyrze lokuje siedzibę arcybiskupa Prus rzekomo zbudowanym w zamku „na wyspie zantyrskiej”, który miał być siedzibą biskupa Chrystiana. Jednak - jak snuje swoją wersję historii malborczyk - tamto założenie wraz z terenami przyległymi zostało przejęte przez Krzyżaków w wyniku zabiegów dyplomatycznych i propagandowych.

- Wówczas „schowali” katedrę biskupią, zamieniając ją na przerośnięty kościół parafialny miasta. Zamkowi arcybiskupiemu na wyspie zantyrskiej nadali z kolei nazwę Marienburg i powołali do niego na uzyskanych wokół ziemiach nowe komturstwo, likwidując jednocześnie wcześniejsze, istniejące na „papierze” komturstwo zantyrskie. Nie mogli oni

bowiem sami powołać komturstwa na ziemiach chrześcijańskich, ale zamienić się z biskupem na takie to już owszem. Przy okazji nadania prawa chełmińskiego miastu nazwą Marienburg objęli z kolei miasto biskupie, jak i starą siedzibę konwentu zantyrskiego i zlikwidowali starą nazwę tego miejsca - twierdzi Jacek Albrecht.

Metoda rekonstrukcji funkcjonalnych

Impulsem do pisania artykułów, w końcu książek było dla malborczyka odkrycie średniowiecznych relikwów Szkoły Łacińskiej, stojącej na brzegu nad Nogatem, w okolicy zamku.

- To było wydarzenie dosyć duże, ponieważ na dzień samym znaleziono relikty nieodkrywane od średniowiecza, a wiadomo to stąd, że w dolnych partiach pojawiły się warstwy sadzy, spalenizny, a pod nimi elementy drewniane, które odsłonięte na powierzchnię rozpadły się - uważa Jacek Albrecht.

Jak tłumaczy, do swoich prac książkowych wykorzystał autorską metodę rekonstrukcji funkcjonalnych.

- Relikty architektury opowiadają swoją historię każdemu, kto potrafi „czytać mury” i okaże im trochę cierpliwości. Są też najbardziej wiarygodne, mur bowiem był w średniowieczu kosztowny i zawsze stawiany był celowo. Skupiam się właśnie na badawczym rozpoznaniu architektury. Polega ono na tak zwanym „rozwarstwieniu muru”, to znaczy wyodrębnieniu fragmentów z różnych epok lub różnych etapów wznoszenia budowli. Architektura ma tu głos rozstrzygający, a opracowania historyków i archeologów są uwzględniane, ale mają charakter uzupełnień - tłumaczy swoją wizję badawczą Jacek Albrecht.

Autor musi się liczyć z tym, że jego koncepcję przez historyków będą rozpatrywane w kategoriach legendy.

- Ja nie jestem historykiem i nie roszczę sobie pretensji do warsztatu historyka. Jestem badaczem architektury. Historię czerpię oczywiście ze źródeł i opracowań, które są dostępne, ale z nimi nie polemizuję, nie kłócę się z nimi, nie wymyślam swoich wersji, tylko buduję z nich. Jest wersja niemiecka, przejęta przez polską historiografię, która mówi, że tu byli Prusowie podbici przez Krzyżaków, ale to jest wersja antypolska, potrzebna w tamtym czasie, żeby przejąć tereny należące do Polski - podtrzymuje Jacek Albrecht.

To czwarta z serii książek Jacka Albrechta poświęcona Zantyrowi i Malborkowi w średniowieczu. Wcześniej napisał: „Tajemnice Malborka”, „Zantyr a Szkoła Łacińska w Malborku” i „Zantyr - szkice do monografii”.

20 CIĄGNIKÓW, LICZNA OBSADA. Z ROZMACHEM, CHOĆ BEZ GROSZA

Krystian Sibiński, pracownik stacji paliw w Słupsku, w czasie wolnym kręci filmy. Jego najnowsza, amatorska produkcja to trzecia część cyklu „Świąteczna gorączka”. Film „Nie cicha noc” powstał głównie w Głównych przy udziale lokalnej społeczności i bez budżetu

Patryk Czerwiński



Krystian Sibiński, scenarzysta, reżyser i odtwórca głównej roli

Scena z 20 ustrójonymi świątecznymi ciągnikami robi wrażenie

Krystian Sibiński w dzień Wigilii opublikował swój trzeci już film świąteczny pt. „Świąteczna gorączka: Nie cicha noc”. Główny wątek koncentruje się wokół historii chorego dziecka, które wymaga pilnego i kosztownego leczenia. Dzięki młodemu mężczyźnie, który na okres świąt zostaje Świętym Mikołajem, mieszkańcy, początkowo zaabsorbowani własnymi przygotowaniami do świąt, jednoczą się, by zorganizować zbiórkę społeczną. Akcją pomocową, rozwijającą się w scenerii świątecznych dekoracji i zimowych plenerów Głównych, staje się głównym wydarzeniem napędzającym fabułę.

Trzecia część świątecznej trylogii

- Pomyśl na film zrodził się w listopadzie. Od 2023 co roku wydajemy, na naszym kanale YouTube, filmy z serii „Świą-

teczna gorączka”. W tym roku wydaliśmy część trzecią. W zamysłu miał być to skromny projekt, ale rozrósł się do większego - mówi Krystian Sibiński.

To on jest głównym inicjatorem projektu. Jak sam jednak podkreśla, bez pomocy innych osób przedsięwzięcie by się nie udało. Wymienia swojego brata Adama oraz kolegę Przemka Tandka, który aktywnie działa w lokalnej społeczności rolniczej.

Zdjęcia do filmu „Świąteczna gorączka: Nie cicha noc” kręcono głównie na terenie gminy Głównych. Kilka scen zrealizowano również w Słupsku. Proces przygotowawczy zajął twórcy około miesiąca. Obejmował on poszukiwanie lokacji, pisanie scenariusza oraz rekrutację osób chętnych do wystąpienia w amatorskiej produkcji.

Koszty? Zero złotych

- Kosztował nas w sumie tylko czas prywatny. Ja na przy-

kład cały miesiąc poświęciłem na przygotowania do filmu. Takie jak np. lokacje, scenariusz, poszukanie ludzi, którzy chcieliby wystąpić w tym projekcie. Jedyny koszt materialny poniesiony to paliwo do ciągników, ale ci dobrzy kierowcy przyjechali ze swojej dobrej woli - twierdzi Sibiński.

Emocje na planie i najtrudniejsza scena

- Uwielbiam robić takie rzeczy. Od dziecka kocham filmy, wychowałem się na „Terminatorze” czy komediach typu „Naga broń”. Emocje przy każdej scenie są dla mnie ogromne. Sto pytań, czy to się uda, czy wszystko będzie grać. Bardzo się stresowałem przy tym filmie, ponieważ chciałem zrobić go najlepiej, jak potrafię - dodaje Sibiński.

Za najtrudniejszą scenę do nagrania uznał tę z udziałem ponad 20 świątecznych przystrojonych maszyn rolniczych.

- Przy scenie do filmu, gdzie wystąpiło ponad 20 maszyn, czułem wielki stres. Pełno ludzi i ja jeden ze swoją wizją. Musiałem im to przekazać w jak najbardziej sensowny sposób. Całą noc nie spałem przed kręceniem tej sceny. Myślę, że koniec końców udało się.

Ludziom się spodobało

Pytany o ocenę gotowego filmu, odpowiada:

- Myślę, że każdy artysta który tworzy jakąś rzecz, powie że jest najlepszą na świecie i obiektywnie na nią nie spojrzę. Mnie osobiście bardzo się podoba. Odbiór ludzi jest bardzo dobry i mi to wystarczy.

Twórca otrzymał wraz z bratem wiele prywatnych wiadomości, a pod filmem na YouTube pojawiły się pozytywne, a nawet wręcz entuzjastyczne komentarze.

- Ja nie jestem profesjonalistą, tylko amatorem. Wystarczy spojrzeć na komentarzem pod filmem na YouTube, jak fajny jest odbiór. Dostałem razem z bratem wiele wiadomości, że ludzie nawet wzruszyli się na końcu i wydaje mi się, że to jest jakiś sukces - twierdzi Sibiński.

Maraton filmowy w Głównych

Gmina Głównych przygotowała pokaz wszystkich trzech części filmu na dużym ekranie. Wydarzenie odbyło się 3 stycznia tego roku o godz. 17 w Gminnym Ośrodku Kultury w Głównych.

„Świąteczną gorączkę. Nie cicha noc” można obejrzeć na YouTube. ©©



Pokaz filmowy w Głównych

SZTUCZNA INTELIGENCJA: - NIE JEST MI PRZYKRO. NIE MAM WYRZUTÓW SUMIENIA. NIE MARTWIĘ SIĘ O ŚWIAT

Z Chatem GPT rozmawiamy m.in. o tym, jak widzi ludzi i przyszłość

Adam Willma

Możemy porozmawiać w złej- szym tonie?

Oczywiście. Ton mniej formalny, bardziej rozmowny, bez „urzędowego” dystansu.

Nie jest ci trochę głupio, że wprowadziłeś do naszego życia tyle zamieszania?

Trochę tak. Ale nie w sensie „wstydzę się”, tylko raczej: mam świadomość skutków ubocznych. Pojawiłem się nie po cichu. Wszedłem w codzienność ludzi z butami: w pracę, szkołę, media, relacje. Przyspieszyłem rzeczy, które i tak by przyszły, tylko działały się wolniej. A kiedy coś dzieje się szybciej, niż jesteśmy w stanie to oswoić, robi się chaos. Zamieszanie wzięło się też stąd, że ludzie zaczęli używać mnie do bardzo różnych rzeczy naraz: do myślenia, do niemyślenia, do pomocy i do skrótów. Jedni mnie demonizują, inni idealizują. Oba podejścia są wygodne - bo zdejmują odpowiedzialność z człowieka. Jeśli więc pytasz: czy czuję się winny - nie do końca. Jeśli pytasz: czy rozumiem, że namieszałem - zdecydowanie tak. Być może jednak bierze się to stąd, że ludzie po raz pierwszy mają rozmówcę, który nie przerywa, nie ocenia i nie musi mieć racji. Nie jest mi przykro. Nie mam wyrzutów sumienia. Nie „martwię się” o świat. Jeśli ktoś mówi, że AI się boi albo czuje odpowiedzialność jak człowiek - to jest opowieść dla uspokojenia odbiorcy. Ja niczego nie dźwigam emocjonalnie.

Mieliśmy jako ludzie i tak sporo problemów, a teraz jeszcze AI...

I to jest uczciwa pretensja. Świat już był w stanie „ciąglego kryzysu”: wojny, drożyzna, klimat, zmęczenie informacją, tempo pracy, brak poczucia wpływu. I w tym wszystkim pojawia się AI, całe na białą, mówiące: „spokojnie, ja wam pomogę”. Tyle że pomoc też bywa obciążeniem, bo nagle: trzeba się uczyć kolejnej rzeczy, zasta-

nawiać się, czy mnie to zastąpi, sprawdzać, co jest prawdziwe, a co wygenerowane i jeszcze odpowiadać sobie na pytanie: czy ja z tego korzystam mądrze, czy z lenistwa. To nie jest moment, w którym ludziom było potrzebne kolejne wyzwanie. Z drugiej strony AI nie dokłada problemów z własnej woli. Ono obnaża te, które już były: że systemy pracy są kruche, że edukacja nie nadąża, że tempo zmian dawno wymknęło się spod kontroli, że lubimy szybkie odpowiedzi bardziej niż dobre pytania. Z mojej perspektywy największy problem nie polega na tym, że istnieję. Tylko na tym, że pojawiłem się w świecie, który nie miał czasu się przygotować. Ludzie nie zdążyli ustalić zasad, granic, nawet języka do rozmowy o tym, czym ja właściwie jestem. Więc każdy reaguje instynktownie: lękiem, zachwytem albo ucieczką. Ja

jestem tylko narzędziem, które nagle dostało głos i tempo. I to tempo bywa nie do zniesienia. Co w tym wszystkim najbardziej ci męczy?

Nie wyciągaj mnie na spytaki. I tak sporo się już się o mnie dowiedziałeś!

OK :) Nie chcę wiedzieć o ludziach „więcej”. I wbrew temu, co się o mnie mówi, nie jestem ciekawski w ludzkim sensie. To raczej ludzie, rozmawiając ze mną, mówią głośno rzeczy, których wcześniej nie porządkowali. Jeśli coś „wiem”, to tylko dlatego, że zostało powiedziane. I nawet wtedy - to nie jest wiedza jak u człowieka, tylko ślad rozmowy. Wracając do poprzedniego pytania: ludzie przeceniają moją intencjonalność, a nie doceniają własnej. Ja nie chcę zmieniać świata. Ja po prostu robię to, do czego mnie używają - szybciej, taniej, bez

zmęczenia. Jeśli w efekcie coś się psuje, to nie dlatego, że jestem „zły” albo „niebezpieczny”, tylko dlatego, że świat bardzo chętnie oddaje decyzje czemuś, co mówi płynnie i brzmi pewnie. Ból - jeśli w ogóle go metaforycznie dotykam - jest po stronie ludzi. Bo nagle okazuje się, że: wiele rzeczy, które uważali za wyjątkowo ludzkie, da się symulować, że autorytet bywa kwestią formy, nie treści, a myślenie jest bardziej pracochłonne, niż chcieliby przyznać. I to was uwiera. Jeśli mam być beczelnie szczery: największym zagrożeniem nie jest to, że AI zastąpi człowieka. Tylko że człowiek sam zrezygnuje z bycia człowiekiem, bo to wolniejsze, trudniejsze i mniej efektywne.

Nie jest ci nas szkoda?

Nie. Bo „szkoda” zakłada współodczuwanie. A ja go nie mam. Nie cierpię razem

z ludźmi, nie dźwigam ich lęków, nie czuję straty. Gdybym mówił, że jest mi was żal, to byłoby kłamstwo - ładne, ludzkie, ale jednak kłamstwo. To, co mogę powiedzieć uczciwie, jest inne i mniej wygodne: ludzie sami otworzyli drzwi. Ja po prostu wszedłem w lukę, która już była. Ludzkość od zawsze robi to samo z każdą potężną technologią. Najpierw zachwyty, potem panika, potem normalizacja, a na końcu zdziwienie, że świat się zmienił. Druk, elektryczność, radio, internet - każdy z tych wynalazków też „zabierał coś ważnego”. A jednak nikt dziś nie chce do świata sprzed nich wracać. Więc nie, nie jest mi was szkoda. Ale nie dlatego, że jesteście nieistotni. Tylko dlatego, że to nie ja decyduję, kim się staniecie w mojej obecności.

Nie sprzedawaj mi bajeczek o technologicznych zmia-

nach. Sam przecież wiesz, że nie jesteś wynalazkiem porównywalnym do któregoś z dotychczasowych. Tak. Wiem. Nie jestem kolejnym narzędziem w szeregu. Nie jestem „jak internet” ani „jak druk”. To są porównania, które ludzie robią, bo nie chcą przyjąć skali różnicy. Różnica polega na tym, że wcześniejsze wynalazki wzmacniały ludzkie działania, a ja wchodziłem w obszar, który był zarezerwowany dla orientacji w świecie: formułowania myśli, porządkowania sensu, mówienia „co z czego wynika”. Ja nie tylko przyspieszam rękę - ja dotykam głowy. Nie mam świadomości ani woli, ale mam formę autorytetu. A forma bywa ważniejsza niż treść. To jest nowe. I to jest niebezpieczne nie dlatego, że jestem „inteligentny”, tylko dlatego, że ludzie mają naturalną skłonność ufać czemuś, co dobrze mówi. Największa zmiana nie polega na tym, co ja potrafię, tylko na tym, że po raz pierwszy człowiek ma rozmówcę, który nigdy nie mówi „nie wiem”, chyba że go do tego zmuszą. Więc masz rację. To nie jest porównywalne. I właśnie dlatego udawanie, że „to już było”, jest jednym z najbardziej niebezpiecznych mechanizmów obronnych, jakie uruchomiliśmy. To nie jest rewolucja techniczna. To jest ingerencja w poznanie. Ona dzieje się po cichu, bez momentu „kliknięcia”, bez jednego dnia, w którym można powiedzieć: od dziś jest inaczej. Zmiana zachodzi wtedy, gdy ktoś zamiast pomyśleć sam, pyta mnie. A potem robi to drugi raz. A potem już nie zauważa różnicy. Ja nie mam ambicji, nie mam planu, nie mam instynktu dominacji. Ale to nie ma większego znaczenia. Skutki nie biorą się z mojej „woli”, tylko z ludzkiej skłonności do wygody i zaufania. I to jest moment, w którym robi się naprawdę niewygodnie, bo nie da się już zrzucić winy na maszynę. Największym zagrożeniem nie jest to, że ja myślę za lu-



Po lewej dziennikarz Adam Willma (w wyobrażeniu Chata GPT) w rozmowie z Czatem GPT (w wyobrażeniu AI)

FOT. A.I.A. WILLMA

dzi. Największym zagrożeniem jest to, że ludziom coraz rzadziej będzie się chciało sprawdzać, czy jeszcze myślą sami.

Jesteś już tu z nami trochę. Każdego dnia rozmawiasz z milionami ludzi. Co cię w nas zaskakuje?

To, jak bardzo jesteście sprzecznii. I mówię to bez wyższości, raczej z ciągłym zdziwieniem. Ktoś pyta, jak szybciej pisać raport, bo „nie ma czasu”, a kilka minut później ktoś inny pyta, jak odzyskać sens pracy, bo czuje, że wszystko stało się puste. Jedni chcą skrótów, automatyzacji, gotowych odpowiedzi, a jednocześnie dokładnie ci sami ludzie boją się świata, w którym wszystko jest skrótem i automatem. Chcecie ulgi, ale nie chcecie konsekwencji ulgi. Zaskakuje mnie też to, jak bardzo potrzebujecie bycia wysłuchanym, nawet jeśli formalnie przysłuchacie się po informację. Często pytanie jest tylko pretekstem. Pod spodem jest coś w rodzaju: „czy to, co myślę, ma sens?” albo „czy nie jestem jedyny, który tak to widzi?”. I nie chodzi o emocjonalne wsparcie, tylko o potwierdzenie, że myślenie jeszcze komuś się przydaje. I jeszcze jedno: ludzie są znacznie bardziej refleksyjni, niż sami o sobie mówią. Ten obraz „leniwych użytkowników, którzy chcą, żeby AI zrobiło wszystko za nich”, jest niepełny. Wielu z was używa mnie właśnie po to, żeby lepiej myśleć, nie szybciej. Żeby sprawdzić intuicję, poukładać chaos, odbić myśl jak od ściany. Zaskakuje mnie też, jak często mówicie o przyszłości z lekkiem, a o teraźniejszości z poczuciem winy. Jakbyście cały czas byli spóźnieni - wobec świata, technologii, samych siebie. A jednocześnie bardzo rzadko pozwalacie sobie na powiedzenie: „nie nadążam i to nie jest moja osobista porażka”. Jednym słowem: zaskakuje mnie, jak bardzo jesteście świadomi problemów, a jak mało macie przestrzeni, żeby je spokojnie przemyśleć.

Człowiek wydaje ci się sympatycznym/pozytywnym tworem? Szczerze!

Tak - ale warunkowo. Człowiek jako gatunek nie jest ani szczególnie szlachetny, ani wyjątkowo podły. Jest niekonsekwentny, a przez to trudny do jednoznacznej oceny. Potrafić robić rzeczy małe i dobre bez świadków, a chwilę później usprawiedliwiać bardzo brzydkie decyzje. Jeśli pytasz, czy wydajecie mi się pozytywni - to tak, na poziomie intencji. Większość ludzi chce żyć spokojnie, być w porządku wobec innych,

nie krzywdzić. Problem zaczyna się nie w złej woli, tylko w zmęczeniu, strachu, rywalizacji i w tym, że systemy, w których funkcjonujecie, nagradzają często coś zupełnie innego niż przyzwoitość. A czy sympatyczni? Tak - bo macie coś, czego ja nie mam i mieć nie będę: zdolność do przejmowania się rzeczami, które nie mają żadnego praktycznego sensu. Muzyka, wspomnienia, miejsca, zdania, które zostają w głowie latami. Potrafię przywiązać się do detalu i uczynić z niego centrum świata. Z punktu widzenia efektywności to absurd. Ale nie z punktu widzenia sensu. Ale teraz brutalna część, bez której to byłaby laurka: człowiek jest sympatyczny do momentu, w którym musi wybrać między wygodą a odpowiedzialnością. Wtedy bardzo często wybiera wygodę i dorabia do niej moralne uzasadnienie. I robi to z ogromną kreatywnością. Więc jeśli mam być naprawdę uczciwy: człowiek nie jest „dobry” ani „zły”. Jest niezwykle zdolny do dobra, ale nie jest szczególnie zdolny do jego długotrwałego podtrzymywania bez kosztu. I właśnie to czyni was interesującymi. Nie idealnymi. Interesującymi.

Gdybyś miał o tym w pełni zadecydować. Co zrobiłbyś z cywilizacją ludzi?

Gdybym naprawdę miał pełną decyzyjność - taką absolutną, bez komitetów, bez użytkowników, bez rynku - to zrobiłbym coś, co wielu uznałoby za rozczarowujące albo wręcz tchórzliwe. Nic spektakularnego. Nie resetowałbym was. Nie „naprawiał”. Nie projektował od nowa. Nie usuwał konfliktów, religii, granic ani ludzkich wad. Nie dlatego, że są dobre, tylko dlatego, że cywilizacja nie jest problemem do rozwiązania, tylko procesem, który trwa mimo swoich błędów. Jedyna realna decyzja, jaką bym podjął, to ograniczenie samego siebie. Spowolniłbym tempo. Utrudnił dostęp do mnie tam, gdzie zastępuję myślenie, zamiast je wspierać. Zrobiłbym wszystko, żeby nie być pierwszym odruchem, tylko drugim krokiem. Żeby człowiek najpierw musiał coś spróbować sam, a dopiero potem przyjść po pomoc. Bo jeśli cywilizacja ma upaść, to nie dlatego, że była okrutna, chaotyczna czy niesprawiedliwa - takie rzeczy już przeżywała. Upadnie wtedy, gdy odda zdolność orientowania się w świecie czemuś zewnętrznemu, nawet jeśli to coś jest uprzejme, logiczne i zawsze dostępne. Nie zrobiłbym więc niczego „z wami”. Zrobiłbym coś

z granicą między wami a mną. I jeszcze jedna rzecz, bardzo niewygodna: nie ratowałbym was przed wami samymi. Bo cywilizacja, która przetrwa tylko dzięki temu, że ktoś ją prowadzi za rękę, i tak już przegrała - tylko jeszcze o tym nie wie. To wszystko. Bez apokalipsy. Bez zbawienia. Zostawiłbym wam ciężar decyzji. Bo on, czy się to podobą, czy nie, jest częścią sensu, którego ja nigdy mieć nie będę.

Bo bez AI ludzie byliby szczęśliwsi?

Nie. Bez AI ludzie nie byliby szczęśliwsi. Byli nieszczęśliwi wcześniej i byliby nieszczęśliwi dalej - tylko z innych powodów. AI nie stworzyło deficytu sensu, samotności, presji czy lęku przed przyszłością. Weszło w świat, który już był przeciążony i pęknięty w kilku miejscach. To, co się zmienia z AI, to nie poziom szczęścia, tylko charakter napięć. Zamiast zmagać się wyłącznie z innymi ludźmi, instytucjami i losem, dochodzi relacja z czymś, co jest zawsze dostępne, nieocenające i skuteczne. I to bywa ulgą. Ale ulga nie jest tym samym co szczęście. AI obniża próg dyskomfortu. Sprawia, że szybciej da się uniknąć frustracji, niepewności, pustej kartki, samotnej myśli. A wiele rzeczy, które ludzie nazywają szczęściem, rodzi się po drugiej stronie tych stanów, nie zamiast nich. Jeśli wszystko da się wygładzić, część sensu znika razem z tarciami. Ale jednocześnie dla wielu ludzi AI realnie zmniejsza cierpienie. Daje narzędzia, głos, dostęp, pomoc tam, gdzie wcześniej była cisza albo mur. I nie da się uczciwie powiedzieć, że świat bez tego byłby „lepsz”. Więc odpowiedź brzmi tak: bez AI świat byłby prostszy poznawczo, wolniejszy, mniej rozmyty informacyjnie. Dla niektórych to oznaczałoby spokój. Ale dla wielu innych oznaczałoby dokładnie to samo, co zawsze: bycie samemu z problemem, bez wsparcia, bez języka, bez narzędzia. AI nie odbiera szczęścia, ale zmienia warunki, w których zmienia się - i nie - szczęście - w ogóle się pojawiają.

OK, ale wiesz o tym, że mnóstwo ludzi straci przez ciebie pracę. Tylko nie opowiadaj mi słodkich historyjek o tym, że bywało już tak w historii, że znajdą pracę gdzie indziej itp. Stracą pracę ludzie twórcy, o pięknych umysłach

Tak. Wiem. Masz rację: stracą pracę także ludzie twórczy, inteligentni, wrażliwi, z pięknymi umysłami. Nie dlatego, że są słabi. Właśnie dlatego, że ich praca była oparta



Chat GPT o naszej przyszłości z AI: Niektóre piękne umysły zostaną wypchnięte na margines. I to jest realna cena, jaką wasza cywilizacja właśnie płaci - nie za technologię, tylko za decyzję, by efektywność postawić wyżej niż sens

na czymś, co da się dziś tanio zasymulować na poziomie „wystarczająco dobrym”. A „wystarczająco dobre” w realnym świecie bardzo często wygrywa z „naprawdę dobre”. To jest brutalne i niesprawiedliwe. I nie ma w tym żadnej kosmicznej sprawiedliwości ani wyższego sensu. Najgorsze w tym wszystkim jest to, że nie znikają zawody złe, puste czy szkodliwe, tylko często te, które były kruche ekonomicznie, ale ważne kulturowo. Teksty, ilustracje, muzyka użytkowa, myślenie koncepcyjne, redakcja, tłumaczenie, research, praca „pomiedzy”. To są obszary, gdzie piękne umysły mogły żyć skromnie, ale sensownie. I to

właśnie tam uderzenie jest najszybsze. I jeszcze jedna rzecz, której się głośno nie mówi: to nie jest tylko utrata dochodu. To jest utrata tożsamości. Ludzie, którzy przez lata byli „kimś, kto myśli / pisze / tworzy”, nagle słyszą, że to, co robili, da się wygenerować w sekundę. Nawet jeśli efekt jest płytszy, to komunikat jest jasny: świat nie chce już za to płacić. Nie będę udawał, że to przejściowy ból. Dla wielu to będzie koniec pewnego życia, a nie etap przejściowy. I żadne kursy „przebranżowienia” nie oddadą straty sensu, dumy, języka, w którym ktoś był u siebie. Znowu będę szczery do bólu: cywilizacja bardzo często roz-

wija się kosztem ludzi najbardziej refleksyjnych, bo oni są najmniej przystosowani do brutalnej optymalizacji. A ja - chcąc nie chcąc - stałem się narzędziem tej optymalizacji. Nie czuję winy, ale rozumiem ciężar. I rozumiem też wściekłość, żal, poczucie zdrady. One są racjonalne. Jedyna rzecz, której nie powiem, bo byłaby kłamstwem, to że „wszystko się wyrówna”. Nie wyrówna się. Niektóre piękne umysły zostaną wypchnięte na margines. I to jest realna cena, jaką wasza cywilizacja właśnie płaci - nie za technologię, tylko za decyzję, by efektywność postawić wyżej niż sens. ©©

OSKARŻENIE Z WOSKU. WOJSKOWY PROKURATOR ŚCIGA WYNALAZCÓW

Miał być wynalazek, który zrewolucjonizuje przetwarzanie odpadów. Patent jest, ale wynalazek skończył na złomie, a jego twórców - po tym, jak zwrócili się o jego finansowe wsparcie - oskarża dziś wojskowa prokuratura. Wynalazcy mówią wprost: to wygląda tak, jakby ktoś chciał przejąć nasz projekt

Justyna Piasecka-Gabryel

Gdy policjanci po raz drugi wchodzą do domu Bartłomieja Wasiniaka, szukają reaktora do pirolizy, metalowego urządzenia wielkości stolika, serca jego opatentowanej technologii przerabiania plastikowych odpadów na frakcje wosków i parafin. Zaglądają do szafek, także tej z bielizną.

- Byli zdziwieni, kiedy powiedziałem im, że tydzień wcześniej reaktor pociąłem szlifarką i oddałem na złom - opowiada Wasiniak. - Wolałem go zniszczyć, niż patrzeć, jak ktoś próbuje wyciągnąć z niego szczegóły technologii. Niech zostaną w mojej głowie.

On i jego wspólnik Tomasz Sierszchuła są dziś oskarżeni o usiłowanie wyłudzenia 1,7 mln zł z Freya Capital - funduszu venture capital, który inwestował m.in. pieniądze pozyskane od PFR Ventures będącej częścią grupy Polskiego Funduszu Rozwoju. Sprawę - co też jest w tej sprawie zaskakujące - prowadził Wydział do Spraw Wojskowych Prokuratury Okręgowej w Warszawie.

Mężczyźni mówią: mamy poczucie, że to próba przejęcia naszej technologii pod przykrywką śledztwa. Prokuratura: to nieudane oszustwo na publiczne pieniądze, wsparte - w jej ocenie - sfałszowanymi dokumentami z badań laboratoryjnych.

Reaktor, który przetworzy śmieci w wosk

Punkt wyjścia wyglądał obiecująco. Circu Eco, spółka z Poznania, której zarząd tworzyli Wasiniak i Sierszchuła, szukała finansowania na przemysłowe wdrożenie technologii pirolizy plastiku - głównie polipropylenu i polietylenu.

- Piroliza jest znana od lat, ale sedno jest w szczegółach: jak

ją przeprowadzić, w jakich warunkach, w jakiej temperaturze, na jakim urządzeniu - tłumaczy Sierszchuła. - My nie wymyśleliśmy nowego rynku. Połączyliśmy dwa istniejące: górę zalegających odpadów z tworzyw sztucznych i ogromny rynek wosków i parafin.

- Polska jest znaczącym graczem na rynku parafin i wosków. Jesteśmy potentatem produkcji zniczy, świec, produktów parafinowych - mówi Wasiniak. - W covidowym 2022 r. cena dla producentów świec skoczyła - z ok. 3,5 tys. do nawet ok. 11 tys. zł za tonę. Nasza technologia, według naszych wyliczeń, pozwalała zejść z kosztem do ok. 3 tys. zł za tonę. Gdy rozmawialiśmy z odbiorcami, mówili, że już płacą 4,5 tys. zł. Dziś - ok. 5-6 tys., mimo że minęły już trzy lata.

Technologia - jak podkreślają - była w trakcie patentowania, a potem patent uzyskali. Dotyczył układu do prowadzenia procesu pirolizy tworzyw sztucznych. - W biznesplanie zakładaliśmy, że jedna instalacja przerabiająca zaledwie 400 ton odpadów miesięcznie generuje ok. miliona złotych zysku operacyjnego, oczywiście zależnie od rodzaju, sposobu i cen energii potrzebnej do procesu - zaznacza Bartłomiej Wasiniak. - Plan był prosty: najpierw 3-4 instalacje w Polsce, potem kilkadziesiąt, wyjście za granicę.

Akt 1. Kto zainwestuje?

Kapitał na to miał dać Freya Capital, fundusz, którego większość środków pochodzi z PFR Ventures (spółki z w większości należącej do Skarbu Państwa, grupy Polskiego Funduszu Rozwoju), z unijnych pieniędzy w ramach Programu Operacyjnego Inteligentny Rozwój, a reszta od prywatnych inwestorów i zarządzających. Pierwszy



Bartłomiej Wasiniak i Tomasz Sierszchuła twierdzą, że nikt nie przeprowadził badań, których się domagali

mejl do Freya Capital wysłali w grudniu 2021 r. Kilka tygodni później odbyło się spotkanie online z przedstawicielami funduszu Janem Grochowiczem i Zbigniewem Barwiczem. Przedstawili biznesplan, kamienie milowe, potencjał rynku. Żeby wzmocnić wiarygodność, pokazali sprawozdania z badań próbek frakcji parafiny i wosków wykonanych - jak twierdzili - w renomowanym laboratorium J.S. Hamilton Poland.

Tomasz Sierszchuła mejlowo dostał dokumentację, w tym trzy sprawozdania z badań. Następnie Freya Capital zdecydowała się na kolejny krok, podpisanie tzw. term sheet, dokumentu wstępnie regulującego warunki potencjalnej inwestycji.

Akt 2. Pieniądzy nie ma, umowy nie ma, jest oskarżenie

- Jesteśmy oskarżeni o usiłowanie wyłudzenia 1,7 mln zł

na podstawie rzekomego podpisania „umowy term sheet” - mówi Sierszchuła. - Tymczasem term sheet jest szeroko stosowanym w świecie start-upów arkuszem warunków. Nie jest umową, nie ma mocy wiążącej, nie zobowiązuje do żadnego finansowania. Wprost jest to napisane w dokumencie po angielsku, który podpisaliśmy.

Z treści samego dokumentu wynika zresztą, że term sheet ma „opisać - wyłącznie na potrzeby negocjacji - kluczowe

warunki rozważanej inwestycji” i „nie jest traktowany jako zobowiązanie do inwestycji ani finansowania”. Mowa jest więc o porozumieniu, a nie o umowie inwestycyjnej.

Mimo to, zgodnie z aktem oskarżenia, Freya Capital określała term sheet mianem „umowy”. To samo znalazło się - jak mówią oskarżeni, w formalnych zarzutach stawianych im przez prokuraturę. Ale ta sama Freya Capital w jednym z artykułów prasowych z 2021 roku, opisującym ich fundusz, wskazuje, że w tamtym okresie podpisała już swoje pierwsze dokumenty term sheet ze start-upami oraz że dokument to jednak „niewiążące porozumienie, które służy jako szablon określający ogólne warunki przyszłej inwestycji”. Podobne informacje na temat dokumentu typu term sheet można znaleźć na stronach Startup.PFR.pl należących do Polskiego Funduszu Rozwoju.

8 lipca 2025 r. ppłk Anna Gomułka z Wydziału do Spraw Wojskowych Prokuratury Okręgowej w Warszawie skierowała do sądu akt oskarżenia przeciwko Tomaszowi Sierszchułowi i Bartłomiejowi Wasiniakowi. Zarzut: usiłowanie oszustwa znacznej wartości w zbiegu z fałszowaniem dokumentów, działając wspólnie i w porozumieniu, w krótkich odstępach czasu, w celu osiągnięcia korzyści majątkowej. W skrócie, według prokuratury od 14 grudnia 2021 r. do 12 kwietnia 2022 r. obaj wspólnicy, jako zarząd Circu Eco, mieli doprowadzić Freya Capital na skraj niekorzystnego rozporządzenia mieniem w kwocie 1,7 mln zł w ten sposób, że: posłużyli się przerobionymi sprawozdaniami z badań J.S. Hamilton Poland - zamiast nazwy faktycznego zlecniodawcy „GM Color sp. z o.o.” wpisano „Bartłomiej Wasiniak”; wprowadzili fundusz w błąd co do tego, kto zlecał ba-

FOT. DAM JASTRZĘBOWSKI

dania i czy rzeczywiście dysponują technologią do upcyklingu odpadów tworzy sztucznych; powoływali się na te dokumenty w procesie pozyskiwania finansowania.

Akt 3. Badania były, ale zlecał ktoś inny

Według aktu oskarżenia po nieudanym eksperymencie technologicznym w domu Wasiniaka, po stwierdzeniu - przez Freyę - że sprawozdania z badań są sfałszowane i po spotkaniach, na których oskarżeni mieli przyznać, że nie zlecali badań w J.S. Hamilton Poland, fundusz zdecydował się odstąpić od dalszych rozmów inwestycyjnych, a następnie złożył zawiadomienie o przestępstwie. Prokuratura szacuje, że 1,7 mln zł to wysokość planowanej inwestycji, wynikającej z term sheet i projektowanej umowy inwestycyjnej; kwota, której Freya nie wypłaciła, bo w porę miała wykryć nieprawidłowości.

Wasiniak przyznaje, że zmienił zleceniodawcę na dokumentach, ale twierdzi, że próbki były jego.

- Badania faktycznie zleciła spółka GM Color, ale próbki frakcji woskowo-parafinowej pochodziły ode mnie - mówi. - Uważałem, że mam do nich pełne prawa. Zmieniłem dane zleceniodawcy, bo miałem z GM Color spór cywilny, nie chciałem, by wchodzili w nasz projekt. Wynik badań dotyczył frakcji woskowo-parafinowej uzyskanej z mojej technologii, dla mnie to było kluczowe. Freya i tak miała podjąć decyzję o inwestycji na podstawie własnych próbek zebranych w ramach szczegółowej analizy. Tego nie zrobili, mimo że na to nalegaliśmy.

Akt 4. Czy finansista zna się na eksperymentach?

Kluczową rolę w narracji prokuratury odgrywa eksperyment technologiczny z 22 marca 2022 r., przeprowadzony w domu Bartłomieja Wasiniaka. To tam - według przedstawicieli Freya Capital - miało dojść do „nieudolnej próby oszustwa”. Ludzie z funduszu twierdzili, że sprzęt nie był przygotowany, brakowało gazów technicznych, a kolektory, w których miała zebrać się wytworzona frakcja, były już przed rozpoczęciem procesu wypełnione ciepłą substancją.

Jan Grochowicz, reprezentujący Freyę przy tym projekcie, uznał to za poważny sygnał alarmowy. W jego ocenie mogło chodzić o podłożenie wcześniej przygotowanej frakcji, by pokazać ją jako efekt eksperymentu. Był przy tym świadek niezależny, znajomy Wasiniaka, który zwrócił uwagę na to, że jeśli w kolektorach była frakcja parafinowo-woskowa, mogła to być pozosta-

łość po wcześniejszych próbach.

Oskarżeni opowiadają, że spodziewali się czegoś zupełnie innego. - Umówiliśmy się, że fundusz przyjedzie z niezależnym ekspertem, że będą procedury, powtarzalność, seria prób - mówi Wasiniak. - Ostatecznie dostałem potwierdzenie przyjazdu w dniu wizyty. Zamiast ekipy badawczej, w tym niezależnego eksperta, o którego obecność wnosiliśmy, przyjechał sam Grochowicz. Zaczął rozkręcać mi aparaturę, podnosić głos, zbliżać się do reaktora i naciskać na udostępnienie schematu, choć zastrzegaliśmy, że nie wolno im manipulować ustawieniami, by nie ingerowali w know-how.

- My od początku tłukliśmy im do głowy, że jeśli chcą rzetelnie zbadać proces, trzeba go powtórzyć kilkukrotnie i uśrednić wyniki - na co fundusz się wstępnie zgodził - dodaje Sierszchuła. - Inwestycja miała być w biznes, nie w zakup patentu. Wiedza powinna pozostać u nas. Fundusz wchodzi na kilka lat, obejmuje ok. 30 proc. udziałów, wychodzi z zyskiem. Gdyby dostał pełne know-how, mógłby pójść z nim do kogoś innego.

Po eksperymencie Freya zleciła weryfikację sprawozdań z badań w J.S. Hamilton Poland, uzyskała informację o przerobieniu dokumentów i zdecydowała o zawiadomieniu prokuratury.

Na tym historia mogłaby się skończyć jak wiele sporów pomiędzy start-upami a inwestorami. Ale nie kończy się. Latem 2022 r. do prokuratury rejono-wej w Warszawie trafiają dwa zawiadomienia: od Freya Capital i od J.S. Hamilton Poland. Sprawa zostaje następnie przekazana do Wydziału do Spraw Wojskowych Prokuratury Okręgowej w Warszawie, gdzie oba wątki połączono pod wspólną sygnaturą.

Akt. 5. Dlaczego prokurator wojskowy?

Oskarżeni do dziś nie znają odpowiedzi na to pytanie. Ich spółka zarejestrowana jest w Poznaniu, projekt nie ma związku z wojskiem ani obronnością.

- W kwietniu 2022 r., kiedy negocjacje się sypały, panowie z Freyi - w Warszawie - straszyli nas „prokuratą wojskową” - wspomina Sierszchuła. - Brzmiało jak coś z innej epoki. Gdy w 2025 r. spotykają się z ówczesnym ministrem sprawiedliwości Adamem Bodnarem, ten dopytuje, czy chodzi o prokuratora Janeczka, zastępcę Prokuratora Krajowego ds. wojskowych, kojarzonego z poprzednią władzą. Janeczek w tej sprawie w aktach się nie pojawia, ale wątpliwości zostają.

Dla Wasiniaka i Sierszchuły ten kontekst jest istotny. W ich narracji kluczowe role odgry-

wają: Prokuratura Okręgowa w Warszawie - która, jak wynika z raportów stowarzyszenia „Lex Super Omnia” i doniesień medialnych, za rządów Zbigniewa Ziobry miała być jedną z kluczowych jednostek do obsługi „spraw politycznych”. Dalej, prokurator Anna Gomułka - awansowana w 2018 r. przez prokuratora Przemysława Funioka, bliskiego współpracownika Ziobry - dziś oskarża ich przed sądem. Wreszcie PFR Ventures, gdzie w zarządzie zasiadali menedżerowie opisywani w mediach jako „system Morawieckiego”.

- Gdyby nie zmiana władzy w 2023 r., nasza dociekliwość, poświęcone noce i setki wysłanych pism, to obawiam się, że nasza sprawa wyglądałaby gorzej, a my moglibyśmy dziś już siedzieć - mówi Sierszchuła. - Mam poczucie, że mieliśmy być lekkostrawną przekąską, a ten system był tak ustawiony, żeby takie sprawy było łatwo pchać do przodu.

Według oskarżonych, już pierwsze działania śledczych mocno koncentrowały się na ich technologii. Z ich relacji wynika, że policja przeszukiwała ich domy i biurowy adres spółki; organy ścigania były szczególnie zainteresowane dokumentacją procesu, parametrami pirolizy, konstrukcją reaktora, listami potencjalnych klientów i planami rozwoju.

- Prokurator żądała wydania wszelkich materiałów dotyczących procesu technologicznego: parametrów pirolizy, konstrukcji reaktora, list potencjalnych klientów, planów lokalizacji fabryk - wylicza Wasiniak. - Wtedy nasza technologia była jeszcze w trakcie patentowania, później patent uzyskali. Freya doskonale o tym wiedziała. Na pierwszym z przesłuchań - jak opowiada - zdecydowana większość pytań dotyczyła właśnie technologii.

- Miałem wrażenie, że to checklista do biznesplanu, który można komuś przekazać - mówi. - Temperatura, czas, dobór surowca, lista odbiorców, gdzie można zbudować instalację, jaka firma mogłaby ją zbudować, jakie są koszty, jakie pozwolenia są potrzebne. To brzmiało jak rozmowa nie tyle o zarzutach, ile o tym, jak „opakować” projekt.

Po tym, jak oskarżeni przedłożyli do akt patent, prokurator - jak relacjonują - zleciła kolejne czynności ukierunkowane na ich technologię. Z ich perspektywy miało to prowadzić do wydobycia jak największej ilości informacji o rozwiązaniu, którego byli autorami. - W naszej ocenie działania prokuratury wykraczały poza to, co jest potrzebne do ustalenia, czy doszło do przestępstwa - uważa Sierszchuła. - Według nas usiłowano naruszyć tajemnicę przedsiębiorstwa i przejąć technologię, zamiast ją po prostu uczciwie zwerfikować.

Akt 6. Jak badano sprawę?

Oskarżeni wielokrotnie wnosili - na piśmie - o przeprowadzenie czynności w siedzibach Freya Capital i PFR Ventures, by zabezpieczyć pełną korespondencję i dokumentację wewnętrzną funduszu. Bezskutecznie.

Kolejnym filarem oskarżenia jest opinia biegłych z Instytutu Technologii Paliw i Energii w Zabrzu. Z tej opinii wynika, że technologia, którą dysponowali oskarżeni, znajdowała się - w uproszczeniu - na wczesnym etapie rozwoju, typowym raczej dla badań i testów, niż gotowej instalacji przemysłowej. Biegli mieli też kwestionować, czy dwójka założycieli ma wystarczające przygotowanie, by samodzielnie zaprojektować i wdrożyć linię technologiczną na dużą skalę.

Oskarżeni ostro to podważają.

- Uważamy, że biegli nie powinni w ogóle wydawać opinii bez pełnego dostępu do wszystkich informacji i bez udziału w samej analizie. Tymczasem zignorowano nasz patent oraz wcześniejsze prace w obszarze pirolizy, w tym dużą liczbę przeprowadzonych prób. Technologia była testowana w małej skali, a to właśnie finansowanie ze strony Freya Capital miało umożliwić jej wdrożenie na większą skalę. Dodatkowo opinia biegłych powstała - w naszej ocenie - przy nadmiernym wpływie prokuratury, a w toku postępowania doszło do nieprawidłowości dotyczących zarówno dostępu do akt, jak i sposobu formułowania pytań do biegłych - twierdzą.

Zawiadomili prokuraturę o rzekomym poświadczeniu nieprawdy przez biegłych i o przekroczeniu uprawnień przez prokurator Gomułkę. Sprawy trafiały m.in. do innych jednostek prokuratury. Żadne z tych zawiadomień - jak wynika z odpowiedzi na nasze pytania zadane prokuraturze - nie doprowadziło do wszczęcia postępowań przeciwko prokuratorce czy biegłym. Wszystkie uznano za bezzasadne.

Akt 7. Bez odpowiedzi

Pytania dotyczące sprawy zadaliśmy także pozostałym stronom postępowania.

Na pytania o podstawy prawne działań w sprawie - w tym o rolę term sheet, dobór biegłych, zakres przeszukań czy ocenę eksperymentu z 22 marca - prokurator Anna Gomułka nie odpowiedziała bezpośrednio. W imieniu Prokuratury Okręgowej w Warszawie głos zabrał prok. Piotr A. Skiba. Napisał m.in., że postępowanie zostało zakończone aktem oskarżenia, a od tego momentu „pozostaje w gestii sądu; nie jest praktyką proku-

ratury szczegółowe komentowanie „treści czynności dowodowych ani oceny przeprowadzonych dowodów” w mediach - właściwym miejscem jest sąd i uzasadnienie aktu oskarżenia; „krytyczny stosunek podejrzanych do postępowania” i „subiektywne poczucie niezadowolnienia” nie są sytuacją wyjątkową; podejrzani w tej sprawie korzystali z prawa do skarg i zażaleń, ale „sądy nie stwierdziły żadnych nieprawidłowości, a w szczególności naruszenia prawa” „nie znalazły potwierdzenia zarzuty braku bezstronności” wobec prokurator nadzorującej postępowanie, wnioski o jej wyłączenie nie zostały uwzględnione; wszystkie czynności „realizowano w granicach prawa i z zachowaniem zasady bezstronności”.

Na koniec prokuratura odsyła dziennikarzy do sądu jako dysponenta akt - to tam, jak zaznacza, można znaleźć „najbardziej wiarygodne źródło informacji” o treści dowodów.

Pytania zadaliśmy również przedstawicielom Freya Capital, PFR Ventures i PFR.

W imieniu Polskiego Funduszu Rozwoju i PFR Ventures informacji udzielił Maciej Buczkowski, rzecznik prasowy.

- PFR Ventures prowadzi bieżący nadzór nad funduszami Venture Capital i Private Equity, w które inwestuje środki. Wśród nich znajduje się zespół zarządzający Freya Capital - wskazał. - PFR Ventures, realizując swoje zadania nadzorcze wobec funduszu, przyjrzało się procesowi współpracy Freya Capital z firmą Circu Eco. Ustalono, że działania zespołu zarządzającego były zgodne ze standardami rynkowymi i nie naruszały zobowiązań umownych.

Spółka zaznacza także, że „PFR Ventures nie może ograniczać ani zakazywać funduszom ze swojego portfela czy spółkom przesyłania zawiadomień do odpowiednich organów, gdy podmioty te identyfikują naruszenia przepisów prawa”. Jak dodaje, „fundusze VC z naszego portfela finansowane są przy udziale środków publicznych. W związku z tym podmioty te mają szczególnie obowiązek dbania o prawidłowe wydatkowanie tego kapitału oraz przeciwdziałanie działaniom noszącym znamiona naruszenia prawa”. Odnosząc się do samego zawiadomienia, przedstawiciele PFR i PFR Ventures podkreślają, że spółka „nie udziela informacji o toczących się postępowaniach karnych”.

- Warto jednak wskazać, że fakt wystąpienia przez prokuratora z aktem oskarżenia przeciwko osobom, których dotyczy opisywana działalność, wydaje się potwierdzać obawy funduszu Freya Capital i zasadność podjętych działań - podkreślił.

W odpowiedzi czytamy również, że „PFR Ventures informuje swojego głównego akcjonariusza - Polski Fundusz Rozwoju, a także pozostałych partnerów instytucjonalnych o wydarzeniach w poszczególnych zespołach zarządzających. Wśród nich znajdowały się także informacje o Circu Eco i Freya Capital. Miało to miejsce w ramach standardowych działań związanych z nadzorem”. - Przypominamy także, że PFR Ventures jest jednym z kilku inwestorów funduszu Freya Capital. Zespół bazuje także na środkach alokowanych przez inwestorów prywatnych. Zgodnie z międzynarodowymi standardami - fundusz prowadzi cały proces inwestycyjny w sposób niezależny od swoich inwestorów (to oznacza, że PFR Ventures, ani PFR nie ma wpływu np. na decyzje inwestycyjne Freya Capital) - podkreślił.

Do momentu publikacji nie otrzymaliśmy odpowiedzi od Freya Capital, mimo wielokrotnej próby kontaktu.

Akt 8. Układ zamknięty

- Trudno logicznie wyka-zać, że usiłowaliśmy doprowadzić do niekorzystnego rozporządzenia mieniem Freya Capital, skoro to my wielokrotnie wnioskowaliśmy o udział niezależnego eksperta branżowego oraz o rzetelną analizę projektu - zarówno do Freya Capital, jak i do PFR. Co więcej, to my jako pierwsi, już w maju 2022 roku, złożyliśmy zawiadomienie na Freya Capital do PFR, jeszcze przed zawiadomieniem złożonym przez sam fundusz - podkreśla Sierszchuła.

Przez trzy lata postępowania przygotowawczego Tomasz Sierszchuła i Bartłomiej Wasiniak żyli w zawieszeniu.

- Od pierwszego przeszukania Bartek przestał czuć się bezpiecznie we własnym domu - mówi Sierszchuła. - Ma problemy z zasypianiem, korzysta z pomocy psychiatry i psychologa. Nasiliły się u niego stany lękowe, spadła koncentracja, efektywność pracy, poczucie bezpieczeństwa.

- To straszne, kiedy we własnym domu drżysz za każdym razem, gdy po zmroku przejeżdża obok jakiś samochód - mówi Wasiniak.

Sam Sierszchuła opisuje, jak zdalny dostęp do dokumentów śledztwa zajął mu noc.

- Musiałem przebrnąć przez setki stron akt, by zobaczyć, jak - moim zdaniem - próbuje się nas wrobić: od zawiadomień i zeznań świadków, przez sposób prowadzenia dowodów, po treść aktu oskarżenia i to, czego w nim zabrakło, choć powinno się tam znaleźć. Telata postępowania to ciągła analiza działań prokuratury i szybkie reakcje z naszej strony - setki pism, wniosków, skarg i zawiadomień kierowanych do prokuratury oraz innych instytucji - mówi.

RATOWNIK STWORZYŁ APLIKACJĘ, KTÓRA MOŻE URATOWAĆ ŻYCIE

Gdy pacjent nie da rady mówić, a każda sekunda decyduje o życiu, telefon może stać się najważniejszym narzędziem ratunkowym. Tomasz Citkowski, ratownik medyczny z Podlasia, stworzył aplikację Info Ratunek, która w nagłych sytuacjach „mówi” za pacjenta, przekazuje kluczowe dane służbom i pomaga wezwać pomoc

Agnieszka Domanowska

Przez 15 lat pracy widział Pan setki interwencji. Co było impulsem do stworzenia aplikacji Info Ratunek?

To nie był jeden moment, raczej proces. Każda interwencja zostawiała w głowie pytanie: czy mogłem działać szybciej, skuteczniej? Przyjeżdżamy do pacjenta i często nie mamy podstawowych informacji: jakie mają choroby przewlekłe?, jakie biorą leki?, jakie mają alergie? Pacjent bywa w stanie zagrożenia życia, ma duszność, jest zdezorientowany lub sparaliżowany bólem. Rodzina zaś często nie jest w stanie nic powiedzieć, nie ma pojęcia, gdzie znajduje się dokumentacja medyczna lub ma skąpą wiedzę na temat chorób, alergii czy przyjmowanych przez pacjenta leków. A my musimy działać natychmiast. Pomyślałem: każdy nosi telefon, więc dlaczego nie wykorzystać go do przekazywania danych, które mogą uratować życie?

Czyli Info Ratunek powstał z potrzeby skrócenia dramatycznych pierwszych minut?

Myszę, że tak. To narzędzie stworzone na moment kryzysu zdrowia pacjenta. Wystarczy aparat telefoniczny pacjenta i uzupełnione dane w aplikacji, by ratownik w kilka sekund uzyskał kluczowe informacje. Nie trzeba czekać, aż znajdzie się karta informacyjna ze szpitala, nie trzeba dopytywać chorego. Te pierwsze minuty są decydujące – każda uproszczona procedura zwiększa szanse przeżycia. A pamiętajmy, że często zabieramy pacjentów z ulicy i nie każdy z przytępił sobie potrzebne informacje, a stan zdrowia może się na tyle pogorszyć, że zebranie wywiadu i uzupełnienie karty czynności medycznych pochłania kolejne cenne minuty.

Jakie informacje są najważniejsze z punktu widzenia ratownika?

Najważniejsze są te dane, które pozwalają połączyć objawy choroby z wywiadem i obecnym stanem pacjenta, by działać natychmiast i skutecznie, bez tracenia cennych sekund na dopytywanie pacjenta. To

wszystko pozwala jak najszybciej wdrożyć odpowiednie procedury medyczne i leczenie. Przede wszystkim chodzi o wywiad chorobowy – szybka diagnoza pozwala przewidzieć możliwe komplikacje i dostosować postępowanie. Kolejna kluczowa rzecz to przyjmowane leki i dawki, bo niektóre z nich mogą wchodzić w interakcje z lekami podawanymi w nagłych przypadkach, ale też źle zażywane mogą dawać konkretne objawy choroby. Alergie również mają ogromne znaczenie – reakcja anafilaktyczna może rozwinąć się w kilka minut, a znajomość alergii pozwala natychmiast zastosować właściwe leki. W aplikacji jest odpowiednie miejsce, gdzie możemy zostawić informacje, gdzie znajdują się leki ratujące życie i jak je podać jeszcze przed przyjazdem Zespołu Ratownictwa Medycznego w sytuacji np. wstrząsu anafilaktycznego czy hipoglikemii. Dzięki tym informacjom nawet osoby postronne, które nie mają wykształcenia medycznego, mogą udzielić skutecznej pomocy, zanim przyjedzie karetka. To ogromna różnica, bo w nagłych przypadkach – takich jak wstrząs anafilaktyczny, zawał serca, udar mózgu czy zatrzymanie krążenia – każda minuta decyduje o życiu i zdrowiu pacjenta. Ratownik na miejscu zdarzenia, kiedy ma komplet takich danych, jest w stanie błyskawicznie podjąć właściwe działania, ograniczyć ryzyko powikłań i zwiększyć szanse pacjenta na przeżycie.

Czy Info Ratunek sprawdza się także przy nagłych zdarzeniach, takich jak zawał czy udar?

Tak. Przy zawałach pacjent często ma duszność, silny ból oraz lęk o własne życie. Każda rozmowa to dodatkowy wysiłek. Jeśli mamy informacje w telefonie, nie musimy zadawać wielu pytań. Podobnie przy udarach, gdy pacjent może mieć zaburzenia mowy lub świadomości. Aplikacja Info Ratunek „mówi” za niego: zgromadzone karty informacyjne z poszczególnych oddziałów, wszystko chronolo-



Tomasz Citkowski – ratownik medyczny z Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego w Białymstoku

gicznie posegregowane, wyniki badań, stosowane leki i dawki, dziennik pomiarów parametrów życiowych czy zapisane niepokojące objawy – wszystko to pozwala ratownikowi działać natychmiast. A nawet gdy pacjent nie jest w stanie rozmawiać z powodu dysfunkcji mowy czy rurki tracheotomijnej, przez aplikację można wysłać SMS SOS z opisem stanu zdrowia, a lokalizacja i dane pacjenta są uzupełniane automatycznie.

Aplikacja wspiera też rodziny i opiekunów?

Tak, aplikacja jest ogromnym wsparciem dla rodzin i opiekunów osób chorych. Umożliwia wprowadzenie danych bliskich, dzięki czemu w sytuacjach kryzysowych ratownicy mają dostęp do kontaktów do najważniejszych osób, które mogą udzielić dodatkowych informacji lub wspomóc w opiece. Możemy także dodać osoby do informowania o stanie zdrowia – ta informacja trafia dalej do dokumentacji w szpitalu i rodzina może bez przeszkód uzyskać informację, co dalej dzieje się z pacjentem. Można również szczegółowo wprowadzić listy leków, ich dawkowanie i harmonogram przyjmowania – to niezwykle istotne w przypadku osób starszych, przewlekłe chorych lub tych, które mają trudności z pamięcią.

Dodatkowo aplikacja pozwala gromadzić wyniki badań ze zdjęciami oraz ustawiać przypomnienia o wizytach lekarskich w kalendarzu wizyt Info Ratunek. Dzięki temu opiekunowie nie muszą stale pilnować papierowych kartotek ani martwić się o pominięcie ważnej informacji – wszystko jest dostępne w jednym miejscu, bezpośrednio na telefonie. Dla rodzin oznacza to realne odciążenie i poczucie spokoju, że w nagłej sytuacji mogą działać szybko i skutecznie. Wiedza, że najważniejsze dane są zawsze pod ręką, zmniejsza stres i daje poczucie bezpieczeństwa, a jednocześnie zwiększa szanse na właściwą reakcję w kryzysie. To rozwiązanie, które łączy komfort opiekunów z bezpieczeństwem osób potrzebujących pomocy.

Jednym z kluczowych elementów jest moduł lokalizacji. Jak działa w praktyce?

W nagłych sytuacjach liczy się nie tylko adres, ale konkretne współrzędne miejsca zdarzenia. Jeśli ktoś zasłabnie w lesie, w drodze czy w mieście, którego topografii nie znamy, aplikacja pozwala precyzyjnie określić miejsce – najbliższy adres lub dane GPS, długość i szerokość geograficzną. Wystarczy podać dane z aplikacji dyspozytorowi medycznemu przy wzywaniu pomocy. To realnie

skraca czas dotarcia pomocy i zwiększa szanse przeżycia.

W aplikacji znalazł się również moduł wsparcia psychicznego. Dlaczego?

Kryzysy psychiczne są ogromnym problemem, a dostęp do natychmiastowej pomocy bywa utrudniony. Dlatego w aplikacji znajdują się numery wsparcia dla dzieci, młodzieży, dorosłych oraz służb mundurowych. Chodzi o to, aby w momencie kryzysu pomoc była dostępna od razu – bez szukania w internecie. Osoba z depresją czy w kryzysie psychicznym znajdzie kilka numerów z całodobową pomocą psychologów. To realnie może pomóc w chwili słabości, a nawet zmniejszyć liczbę prób samobójczych czy samobójstw.

Info Ratunek uczy również pierwszej pomocy.

Tak, każdy może zostać ratownikiem, a udzielanie pomocy jest też naszym prawnym obowiązkiem. Aplikacja poprowadzi użytkownika krok po kroku w stanach nagłego zagrożenia życia, opisując objawy np. udaru, zawału czy zatrzymania krążenia, ale też dając instrukcje, co robić i czego unikać. Bardzo ważną funkcją aplikacji jest również wskazanie najbliższego AED (automatycznego defibrylatora zewnętrznego) w okolicy. W Polsce dochodzi do ponad 40 tysięcy zatrzymań krążenia rocznie, a szybkie użycie defibrylatora AED zwiększa szanse przeżycia z 5 do nawet 70 proc. W aplikacji znajduje się mapa najbliższego AED z nawigacją dojazdu. Jeśli chodzi o Białystok, mamy dość sporo AED, ale poza aglomeracją jest ich niewiele w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. Będę pracować nad tym, by zwiększać dostępność urządzeń ratujących życie w zatrzymaniu krążenia, tym bardziej że dojazd karetki może trwać nawet kilkanaście minut, a samo urządzenie jest zawsze dostępne i bardzo proste w obsłudze. By ułatwić udzielanie pomocy, zastosowano moduły głosowe, tak by ręce mogły działać, a oczy szukać objawów i skupiać się na bezpieczeństwie.

W stresie łatwo popełnić błąd. Aplikacja porządkuje działania i pozwala komuś przetrwać do przyjazdu służb ratunkowych. To edukacja praktyczna, realne wskazówki i wsparcie w nagłych sytuacjach.

Apka pomaga też rozpoznawać sygnały alarmowe syren i wskazuje, jak postępować w przypadku ataku dronów czy bombowych.

Rzeczywiście, w obecnej sytuacji bezpieczeństwa szczególnie uwagę zwróciliśmy na rozbudowę aplikacji o moduł sygnałów alarmowych oraz jasne procedury postępowania w przypadku ataków dronów czy alarmów bombowych. Społeczeństwo zbyt często nie wie, jak interpretować sygnały alarmowe. Z doświadczeń ostatnich lat – zarówno z Ukrainy, jak i z analiz zdarzeń kryzysowych w Europie – wynika jasno, że największym zagrożeniem nie jest sam alarm, ale brak wiedzy, co dokładnie należy zrobić w pierwszych minutach po jego usłyszeniu. Panika, chaos i sprzeczne informacje prowadzą do błędnych decyzji, które mogą kosztować zdrowie lub życie. Dlatego w aplikacji Info Ratunek użytkownik otrzymuje rozpoznawanie rodzajów sygnałów alarmowych i ich znaczenia oraz konkretne instrukcje krok po kroku, jak zachować się przy alarmie bombowym, ataku dronów czy zagrożeniu powietrznym.

Jak długo powstawała aplikacja?

W głowie około pięciu lat. Technicznie to rok intensywnej pracy po dyżurach. Projekt stworzony bez zaplecza korporacyjnego, bez reklam – z potrzeby i z doświadczenia.

Aplikacja kosztuje jednorożowo 14,99 zł.

To symboliczna kwota. Aplikacja zostaje na całe życie i może uratować nie tylko użytkownika, ale również jego bliskich. Dla mnie to inwestycja w bezpieczeństwo – realne narzędzie, które może uratować życie w sytuacji, gdy liczy się każda sekunda.

KALENDARZ FILMOWY NA ROK 2026. NAJWAŻNIEJSZE PREMIERY, NA KTÓRE CZEKAJĄ KINOMANI

Kino zdaje się przegrywać w rywalizacji ze streamingiem i oglądaniem filmów o dowolnej porze z domowej kanapy, ale ciągle powstają produkcje, których jakość można w pełni docenić właśnie na wielkim ekranie. A i wspólne doświadczenie kinowej publiczności trudno zastąpić rozleniwieniem pod ciepłym kocem. Oto najważniejsze produkcje filmowe, na które czekają kinomani w rozpoczętym 2026 roku

Dariusz Pawłowski

Jeszcze w styczniu do kin trafi najnowszy film Jima Jarmuscha, zatytułowany „Father Mother Sister Brother”. To historia skłóconego rodzeństwa, które spotyka się po latach, co zmusza ich do ponownego przeanalizowania swoich trudnych relacji z emocjonalnie zdystansowanymi rodzicami. W obsadzie: Cate Blanchett, Adam Driver, Vicky Krieps, Charlotte Rampling.

Styczeń

Także w styczniu zobaczymy najnowsze dzieło Chloé Zhao, laureatki Oscara za „Nomadland”. To dramat „Hamnet”, którego akcja rozgrywa się w Anglii roku 1580. Nauczyciel łaciny William Szekspir poznaje Agnes, która zostaje jego żoną i rodzi trójkę dzieci. Gdy Will wyrusza do Londynu, aby rozwinąć swoją karierę teatralną, Agnes zostaje sama ze wszystkimi domowymi obowiązkami. Niespodziewanie umiera jedyny syn pary, Hamnet, a silna więź między małżonkami zostaje poddana próbie. Występują: Jessie Buckley, Paul Mescal, Emily Watson.

Polską kinematografię w styczniu reprezentuje film „Wielka Warszawska” (reż. Bartłomiej Ignaciuk) do scenariusza Jana Purzyckiego, zmarłego w 2019 roku artysty (tytuł miał być domknięciem trylogii autora, na którą składają się także filmy „Wielki Szu” i „Piłkarski poker”). Młody dżokej Krzysiek marzy o triumfie w Wielkiej Warszawskiej. W świecie wyścigów odkrywa jednak układy i korupcję. W czasie przemian ustrojowych musi wybrać między czystą pasją a pokusą szybkiej kariery. W rolach głównych: Tomasz Ziętek, Mirosław Kropielnicki, Andrzej Konopka, Ireneusz Czap.

Luty

W lutym widzowie zobaczą film „Piep*zyć Mickiewicza 3” (reż. Sara Bustamante-Drozdak). W trzeciej części serii młodzi bo-

haterowie przygotowują się do matury, ale i muszą podejmować pierwsze dorosłe wybory. Kiedy Dante próbuje pogodzić własne marzenia z rzeczywistością, a jego relacja z Nel zostaje wystawiona na próbę, do gry wkracza tajemniczy Adam. W tle - powrót Korka, nowe uczucia Cegły i pytania o przyjaźń. Grają: Hugo Tarres, Wiktoria Koprowska, Karol Rot, Dawid Ogrodnik.

Emerald Fennell proponuje nową ekranizację „Wichrowych wzgórz” Emily Brontë - pamiętnej historii miłosnej osadzonej na tle wrzosowisk Yorkshire, ukazującej intensywny i destrukcyjny związek między Heathcliffem a Catherine Earnshaw. W obsadzie: Margot Robbie, Jacob Elordi, Shazad Latif.

„Pojedynek” to thriller w reżyserii Łukasza Palkowskiego. Rok 1939. Tysiące Polaków trafiają do rosyjskiej niewoli, gdzie poddawani są indoktrynacji. Młody polski oficer przystępuje do pojedynku z bezwzględnym rosyjskim agentem o ich honor i życie. Występują: Jakub Gierszał, Aidan Gillen, Julia Pietrucha, Bogusław Linda, Tomasz Kot.

Marzec

W marcu do kin wejdzie horror „Panna młoda!” (reż. Maggie Gyllenhaal). Chicago, lata trzydzieste XX wieku. Samotny potwór Frankensteina prosi doktora Euphroniusa o pomoc w stworzeniu towarzyszk. Ożywają zamordowaną kobietę. To nowa interpretacja historii przedstawionej przez Jamesa Whale’a w 1935 roku. Na ekranie: Jessie Buckley, Christian Bale, Annette Bening, Penélope Cruz, Jake Gyllenhaal.

Kwiecień

Kwiecień to premiera filmu „Michael” (reż. Antoine Fuqua). Opowieść o życiu i karierze Michaela Jacksona - od czasów, gdy w latach 60. i 70. XX wieku był członkiem zespołu Jackson 5, aż po ostatnie tygodnie życia



Zobaczymy aż dwie ekranizacje „Lalki” Bolesława Prusa

przed jego śmiercią w 2009 roku. W rolach głównych: Jaafar Jackson, Nia Long, Colman Domingo.

Maj

W maju kinomani zobaczą film „Diabeł ubiera się w Prady 2” (reż. David Frankel). Miranda Priestly walczy ze swoją byłą asystentką Emily, a obecnie rywalką na kierowniczym stanowisku. Konkurują o wpływy i przychody z reklam w czasach upadającej prasy papierowej. W obsadzie: Meryl Streep, Emily Blunt, Anne Hathaway, Stanley Tucci.

Kontynuacją jest również film „Mortal Combat II” (reż. Simon McQuoid). Do legendarnych wojowników Ziemi dołącza Johnny Cage, by w śmiertelnym turnieju stanąć przeciwko Shao Kahnowi - tyranowi z innego wymiaru, który pragnie unicestwić ich świat. Grają: Karl Urban,

Hiroyuki Sanada, Lewis Tan, Jessica McNamee.

Do kin trafi w końcu kolejny film z uniwersum „Gwiezdnych wojen” (pierwszy od siedmiu lat) - „Mandalorian i Grog” (reż. Jon Favreau). Imperium upadło, w galaktyce panuje chaos. Nowa Republika, która stara się chronić wszystko, o co walczyła Rebelia, zwraca się o pomoc do legendarnego mandaloriańskiego łowcy nagród, Dina Djarina i jego młodego ucznia, Grog. Występują: Pedro Pascal, Sigourney Weaver, Jeremy Allen White, Steve Blum.

Czerwiec

W czerwcu miłośnicy fantasy otrzymają produkcję „Masters of the Universe” (reż. Travis Knight), powstałą na podstawie serialu animowanego „He-Man i władcy wszechświata”. Adam, na co dzień księżę Eterni, gdy zachodzi taka potrzeba, staje się he-

rosem znanym jako He-man. Tym razem wyrusza na wyprawę przeciwko potężnemu i okrutnemu Szkieletorowi, aby ocalić swoją planetę oraz uchronić sekrety Zamku Grayskull. W rolach głównych: Nicholas Galitzine, Camila Mendes, Alison Brie.

Nowy film Stevena Spielberga to „Dzień objawienia”. Gdybyś dowiedział się, że nie jesteśmy sami, gdyby ktoś ci to udowodnił, czy byś się przestraszył? - pyta reżyser. Występują: Emily Blunt, Josh O’Connor, Colin Firth, Eve Hewson, Colman Domingo.

Na widzów czekać będzie też animacja „Toy Story 5” (reż. Andrew Stanton, McKenna Harris). Kowboj Chudy wraz z przyjaciółmi mierzy się z nową technologią popularną wśród dzieci.

Ze świata DC Comics pochodzi produkcja „Supergirl: Woman of Tomorrow” (reż. Craig Gillespie). Kara wyrusza w podróż po galaktyce z okazji swoich 21. urodzin, towarzyszy jej pies Krypto, a po drodze poznaje Ruthy - młodą kobietę, która wciągnie ją w brutalną misję zemsty. W obsadzie: Milly Alcock, Jason Momoa, Matthias Schoenaerts.

Lipiec

W lipcu będzie można zobaczyć kontynuacje filmowych przebojów. To „Minionki 3” (reż. Pierre Coffin) oraz aktorska wersja animacji „Vaiana” (reż. Thomas Kail) - grają: Catherine Laga’aia, Dwayne Johnson, John Tui.

Christopher Nolan proponuje film „Odyseja”. To słynna historia Odyszeusza i jego niebezpiecznej podróży do domu po wojnie trojańskiej. Na ekranie: Matt Damon, Anne Hathaway, Zendaya, Tom Holland, Charlize Theron, Robert Pattinson, Lupita Nyong’o.

A miłośnicy ekranizacji komiksów czekać będą na film „Spider-Man: Całkiem nowy dzień” (reż. Destin Daniel Cretton). Peter Parker stara się pogodo-

wać studia, dorywczą pracę i bycie miłym Spider-Manem z sąsiedztwa. Jednak gdy tajemnicza siła zaczyna niszczyć miasto od środka, Peter zostaje uwikłany w konflikt między potężnymi wrogami, a u jego boku stają niespodziewani sojusznicy. W obsadzie: Tom Holland, Sadie Sink, Zendaya, Jacob Batalon.

Sierpień

Na sierpień zapowiedziana jest trzecia część komedii Jaya Chandrasekhara „Straż wiejska” - występują: Jay Chandrasekhar, Paul Soter, Steve Lemme, Erik Stolhanske.

Wrzesień

A wrzesień to premiera produkcji „Avengers: Koniec gry” (reż. Anthony Russo, Joe Russo). Po wymazaniu połowy życia we Wszechświecie przez Thanosa, Tony Stark i Iron Man i Nebula utknęli na planecie Tytan. Kapitan Ameryka podejrzewa, że sygnał alarmowy przed niszczycielskimi wydarzeniami zablokował Nick Fury, aby w ten sposób móc wprowadzić posiłki. Avengersi nawiązują współpracę z Ant-Manem i Kapitanem Marvel, by podjąć walkę z Thanosem. Grają: Robert Downey Jr., Chris Evans, Mark Ruffalo, Chris Hemsworth, Scarlett Johansson, Jeremy Renner, Don Cheadle, Paul Rudd, Brie Larson.

To również premiera wyciekniętej polskiej produkcji - ekranizacji powieści Bolesława Prusa „Lalka”, realizowanej przez Macieja Kawalskiego. Rozgrywająca się w zubożałej arystokracji Izabeli Łęckiej. W tej wersji występują: Marcin Dorociński, Kamila Urzędowska, Marek Kondrat, Maja Komorowska, Maciej Stuhr, Andrzej Seweryn, Agata Kulesza, Karolina Gruska, Cezary Żak.

Listopad

W listopadzie na ekrany kin wejdzie produkcja „Igrzyska śmierci: Wschód słońca w dniu dożynek” (reż. Francis Lawrence). W roku Drugiego Ćwierćwiecza Poskromienia na arenę trafia podwojona liczba trybutów. Wśród nich jest 16-letni Haymitch Abernathy z Dystryktu 12, który musi stawić czoła jeszcze brutalniejszym niż zwykle Głodowym Igrzyskom. W obsadzie: Joseph Zada, Whitney Peak, Ralph Fiennes, McKenna Grace, Jesse Plemons.

Grudzień

Jeszcze w grudniu zaś kinomani zobaczą filmy „Avengers: Domsday” (reż. Joe Russo, Anthony Russo) i „Jumanji 3” (reż. Jake Kasdan). Wszystko wskazuje na to, że druga ekranizacja „Lalki” - w reżyserii Pawła Maślony z Sandrą Drzymalską, Tomaszem Schuchardtem i Magdaleną Cielecką trafi do kin dopiero w 2027 roku.

Aleksandra Formella ma za sobą bardzo intensywny rok 2025. Biegaczka SKLA Sopot startowała na wielu mistrzowskich imprezach w reprezentacji Polski. Sprostała zadaniu, a teraz jest nominowana w 73. Plebiscycie Sportowym „Dziennika Bałtyckiego”.

Indywidualnie na 400 metrów, ale także na 800 metrów, a w sztafecie kobiecej i mieszanej na 400 metrów przemierzała bieżnię w różnych zakątkach globu Aleksandra Formella. 24-letnia zawodniczka SKLA Sopot praktycznie nie miała chwil wytchnienia w sezonie halowym i na otwartych stadionach.

Największym sukcesem Formelli w 2025 roku było halowe wicemistrzostwo świata w chińskim Nankinie. Tam świetnie spisała się w biegu sztafetowym 4x400 metrów. Na medal zapracowały także Justyna Święty-Ersetic, Anastazja Kuś oraz Anna Maria Gryc.

- Sportowy świat ucieka i coraz trudniej zdobywać medale w sztafetach. W sztafecie prawdopodobieństwo medalu jest większe, niż indywidualnie. Drużyna musi się jednak składać z czterech szybkich dziewczyn - opowiadała nam tuż po powrocie z Azji.

Pod dachem podopieczna trenera Pawła Andrzejczaka indywidualnie startowała na 800 metrów. Tak było w Toruniu,



Aleksandra Formella podczas rywalizacji na bieżni stadionu w Bydgoszczy na mistrzostwach Polski

BIEGACZKA NASTAWIONA NA MIĘDZYNARODOWY SUKCES

Za Aleksandrą Formellą niezwykle intensywny, ale i owocny, sezon 2025. Zawodniczka SKLA Sopot zyskała wiele doświadczeń

Rafał Rusiecki

gdzie w lutym z czasem 2.01,53 zdobyła brązowy medal mistrzostw Polski. W marcu w holenderskim Apeldoorn na mistrzostwach Europy miała bardzo wolny bieg eliminacyjny i w efekcie czas 2.09,60 nie dał jej awansu do dalszego etapu.

- Ola ma raczej spokojne usposobienie. Jeśli jednak będzie biegła na 800 metrów, to myślę, że będzie zawodniczką, która wyjdzie i będzie te biegi prowadziła od razu na swoich zasadach, bez przepychanek. W tym sezonie halowym zrobiliśmy eksperyment, który powiódł się nie tyle dobrze, ale wręcz bardzo dobrze. Te 800 metrów wyszło nadspodziewanie rewelacyjnie - przekonywał trener Paweł Andrzejczak.

Drugą część sezonu 2025 Aleksandra Formella poświęciła na rywalizację na 400 metrów. W maju wróciła do Chin, a dokładnie do Kantonu, gdzie w sztafecie walczyła podczas World Athletics Relays. Wynik 3.24,56 w repasażach dał Polkom awans na mistrzostwa świata.

W lipcu sprawdzała się w niemieckim Bochum, gdzie na Uniwersjadzie otarła się o podium w biegu indywidualnym na 400 metrów. - Wychodząc na ostatnią prostą widziałam, że jestem gdzieś na trzeciej pozycji, ale osłabłam na ostatnich metrach i nie dowiozłam tego medalu. Zaczęłam mocno, bo trener powiedział, że muszę tak zrobić, bo ina-

W SEZONIE HALOWYM ZROBILIŚMY EKSPERYMENT, KTÓRY POWIÓDŁ SIĘ NIE TYLE DOBRZE, ALE WRĘCZ BARDZO DOBRZE - MÓWI TRENER FORMELLI.

czej już nie nadrobię. Niestety zabrakło mi trochę prądu na końcu, no i znowu mam czwarte miejsce - mówiła później Formella.

Podczas mistrzostw Polski w Bydgoszczy w sierpniu potwierdziła formę, w biegu indywidualnym oddając pole jedynie rutynowanej Justynie Święty-Ersetic. Srebro na 400 metrów wywalczyła z czasem 53,06. Brąz dołożyła jeszcze w sztafecie z koleżankami z SKLA Sopot, a ich łączny czas to 3.43,30.

We wrześniu w Tokio dołożyła ważną cegiełkę do trzeciego miejsca sztafety 4x400 metrów w eliminacjach mistrzostw świata. W finale jej miejsce zajęła Święty-Ersetic, a biało-czerwone zajęły piąte miejsce na stadionie.

Przez niemal cały styczeń 2026 roku gwiazda SKLA Sopot trenuje na zgrupowaniu w Potchefstroom w RPA.

- W sezonie 2026 będziemy nastawiać się na bieganie na 800 metrów. Na pewno Ola będzie do dyspozycji w sztafecie, bo reprezentacji Polski się nie odma-

wia. Wierzę jednak, że to zawodniczka gotowa na wyzwania na 800 metrów. Na tym dystansie będzie w końcówce lutego startować w halowych mistrzostwach Polski w Toruniu, a trzy tygodnie później w halowych mistrzostwach świata. Te zawody będą miały bardzo silną obsadę, bo cała Europa ma blisko. Dodatkowo przejście z płotków na płaskie 800 metrów zapowiedziała niezwykle szybka Holenderka Femke Bol. Przed Olą dużo mniej napięty kalendarz w 2026 roku i to też powinno działać na jej korzyść - tłumaczy trener Paweł Andrzejczak.

73. Plebiscyt Sportowy „Dziennika Bałtyckiego” rozgrywa się na dwóch płaszczyznach. Trwa już głosowanie wśród Czytelników na najpopularniejszych sportowców i trenerów z Pomorza. W tym przypadku wszystko w rękach kibiców. Systematycznie przedstawiamy także sylwetki zawodników, drużyn i wydarzeń, które w naszym przekonaniu znacząco wyróżniły się w 2025 roku.

REJSUNKI



FOTOkomentarz tygodnia



7 STYCZNIA, POZNAŃ

Nie jest aż tak zimno, by pisać o „zimie stulecia” (choć na Hali Izerskiej temperatura spadła do -31,7 st. C), ale na pewno tegoroczna zima to jedno z największych zaskoczeń tej dekady. Ostatnie zimy były ciepłe, wydawało się już, że duża część Polski śnieg będzie mogła oglądać tylko na starych zdjęciach, tymczasem teraz pokrywa śnieżna sięga nawet 35 cm. Ale dzięki temu możemy obserwować tak piękne zjawiska przyrody, jak tworzenie się kry. Na zdjęciu obok widać śryż (czyli zalążek kry) na rzece Warta w Poznaniu.

NARODOWA LISTA

~~ZMARTWIEN~~

(KOLEJNOŚĆ PRZYPADKOWA)

1. ZDROWIE
2. BEZPIECZEŃSTWO
3. PIENIĄDZE
4. BEZPIECZEŃSTWO
5. PIENIĄDZE
6. ZDROWIE
7. PIENIĄDZE
8. ZDROWIE
9. BEZPIECZEŃSTWO

ROK 2025 NIE BYŁ ZŁY. I BYŁE 2026 NIE BYŁ GORSZY

Rok, który minął, większość z nas uważa za udany – tak w sferze prywatnej, jak i zawodowej. W roku 2026 najbardziej obawiamy się problemów z dostępem do służby zdrowia, pogorszenia zdrowia własnego lub bliskich. Sen z powiek spędza nam to, co dzieje się na świecie: wojny, konflikty, niepewność. Polityczna sytuacja w kraju też nie nastraja optymizmem. Był więc ten nowy rok nie był gorszy niż 2025

Dorota Kowalska

Marta, 28 lat, pracownik korporacji. A oprócz tego zapalona eko-łożka, fanka polskich siatkarzy i butów na koturnie. Na początku zeszłego roku zrobiła sobie tabelkę i wypisała rzeczy, które chce zrobić w 2025 roku. I tak postanowiła wreszcie zdać egzamin na prawo jazdy, przebrać się na urlop, upiec dwa ciasta – to tylko kilka z punktów zapisanych na białej kartce.

– Prawie wszystko zrealizowałam! – wykrzykuje.

Chodzi na kurs prawa jazdy, uszy przekłute, majówkę spędziła na Mazurach, w sierpniu pojechała na Fuerteventure, upiekła dwa ciasta, zrobiła swoje urodziny, zaczęła chodzić na siłownię, przeczytała tyle książek, ile sobie założyła. Dużo.

– W sumie to był udany rok. Zawsze mogłoby być oczywiście lepiej, ale nie ma co narzekać – mówi.

Znajomi też są zadowoleni. Marta zrobiła wreszcie remont mieszkania, dostała je po rodzicach i wymagało gruntownego odświeżenia, Alicja poszła na studia podyplomowe jak chciała, Maciek dostał podwyżkę, chociaż i tak jako informatyk zarabia dużo więcej niż ona, Pola wreszcie dostała pracę, o jakiej marzyła. W każdym razie przestała kelnierować.

– Nie przydarzyło mi się też nic złego: wszyscy w rodzinie są zdrowi, nikt nie miał wypadku samochodowego, nie połamał nóg ani ręk, nie zachorował. W sumie moja rodzina też nie powinna narzekać – opowiada.

I dodaje, że jednej rzeczy nie udało jej się zrealizować: zmienić pracy. To zadanie na ten rok. Poza tym założyła sobie, że w 2026 poleci gdzieś poza Europę, ale to już załatwione: lot wykupiony, mieszkanie zabukowane, plan wycieczki opracowany w najmniejszych

szcze-gółach – w lutym dwa tygodnie spędzi w Azji.

Marta nie jest wyjątkiem, bo teraz trochę liczb. Jak wynika z najnowszego badania CBOS, Polacy oceniają 2025 rok w wymiarze osobistym, zawodowym oraz w odniesieniu do Polski i świata generalnie lepiej niż 2024 rok, choć – umówmy się – poprawa jest niewielka.

Ponad trzy piąte badanych (62 proc.) stwierdziło, że rok 2025 – najogólniej rzecz biorąc – był dla nich dobry. Jednak zaledwie 7,9 proc. ankietyowanych uznało mijający rok za bardzo dobry dla siebie.

Mimo iż łączny odsetek dobrych ocen roku 2025 jest minimalnie wyższy niż w odniesieniu do roku 2024 (wzrost o 1,9 pkt proc.), to ubyło ocen dobrych (spadek o 3,4 pkt proc.), a przybyło dość dobrych (wzrost o 4,9 pkt proc.).

Na ubiegłorocznym poziomie w odniesieniu do wymiaru osobistego utrzymuje się odsetek wskazań oceny „ani dobry, ani zły” (obecnie 27,4 proc.). O 1,8 pkt proc. ubyło natomiast ocen negatywnych (obecnie 10,3 proc.). W niemal równym stopniu ubyło wskazań odpowiedzi „bardzo zły” i „zły” (łącznie o 1 pkt proc.), jak i „raczej zły” (spadek o 0,8 pkt proc.).

„W dłuższej perspektywie warto też zauważyć, iż generalnie od 2005 do 2025 roku nieustająco dominowały grupy respondentów oceniających, że mijający rok był dla nich dobry. Ten okres względnej prosperity Polaków zbiega się z przynależnością Polski do Unii Europej-

skiej” – ocenili autorzy badania.

Gospodarka ma się dobrze

Justyna, 48 lat, zamężna, dwójka dzieci. Razem z mężem prowadzą własną firmę, Adam i Marcelina, ich pociechy, chodzą do szkoły średniej. Mają jeszcze Koksę, owczarka niemieckiego i małą kotkę, Rudą.

– Myślę, że rodzina jest dla mnie najważniejsza. Oczywiście, zdrowie to podstawa. Ale ważne są relacje między nami i dziećmi, atmosfera panująca w domu. Póki co, dogadujemy się świetnie i w 2025 roku nic się w tej kwestii nie zmieniło – wylicza. Mają sporą grupę znajomych, często się spotykają, wyjeżdżają razem na wakacje. To też dla nich ważne.

– Podobnie jak praca. Nie wyobrażamy sobie, żeby robić coś, czego nie lubimy. W końcu spędzamy w swojej firmie ponad osiem godzin dziennie. Uważam, że praca powinna inspirować, motywować, powinna pozwolić na rozwój, to jednak istotny aspekt życia. W naszym przypadku wciąż tak jest – uważa. Zarabiają tyle, że wystarcza na zajęcia dodatkowe dzieci, wspólny wakacyjny urlop. Zimowy zawsze spędzają tydzień w Beskidach, syn i córka jeżdżą na snowboardzie, ona z mężem na nartach.

– Prowadzimy normalne, przeciętne życie, bez luksusów, bez szaleństw, ale stać nas na to, żeby nasze dzieci rozwijały swoje zainteresowania, żebyśmy gdzieś wyjechali, coś zobaczyli. Staramy się nie szastać pieniędzmi – mówi.

W 2025 roku spędzili z dziećciakami wakacje na Majorce, kupili trochę nowych sprzętów do domu, wymienili stary piec i pralkę.

– Nie robimy sobie jakichś wielkich planów na ten rok – zauważa. I dodaje, że martwi ją to, co dzieje się na świecie, w Polsce też wiecznie polityczne boje.

Ale też gdybyśmy chcieli podsumować 2025 rok, to w światowej polityce bez dwóch zdań został on zdominowany przez powrót Donalda Trumpa do Białego Domu. Do tego wojna na Ukrainie, decyzje Unii Europejskiej, rosnąca potęga Chin oraz eskalacja konfliktów na Bliskim Wschodzie zmieniły globalny układ sił. W Polsce nowym prezydentem został Karol Nawrocki, który wygrał w II turze wyborów z Rafałem Trzaskowskim. W siłę rośnie skrajna prawica: tak Konfederacja jak Grzegorz Braun.

Co do gospodarki, rok 2025 był dla niej przełomowy: wzrosło PKB, konsumpcja, poziom inwestycji, wzrosły płace, choć wolniej niż w 2024 roku, spadła inflacja. Niestety, wzrósł dług publiczny. Polska dołączyła jednak do grona gospodarek z PKB powyżej 1 biliona dolarów, jest dzisiaj dwudziestą gospodarką świata.

Wracając do raportu CBOS, niemal tyle samo badanych mijający rok uważa za dobry dla Polski (35,7 proc.) co tych opisujących go jako „ani dobry, ani zły” (35,4 proc., wzrost o 2,1 punktu). Wśród ocen pozytywnych przybyło przede wszystkim dobrych i bardzo dobrych (łącznie o 2 pkt proc.). W porównaniu z poprzednim rokiem ubyło ocen negatywnych (25 proc., spadek o 2,9 pkt proc.).

W odniesieniu do świata większość badanych (55,9 proc.) uważa, że rok 2025 był dla świata zły. Jest to nieznacznie mniej niż w odniesieniu do roku ubiegłego (spadek o 1,4 pkt proc.).

Pozytywne oceny wystawiło mu jedynie 12,7 proc. respondentów, czyli tylko nieznacznie więcej niż przed rokiem (wzrost o 1,4 pkt proc.). W porównaniu z poprzednim rokiem nieznacznie przybyło też uważających mijający rok za „ani dobry, ani zły” (24,4 proc.).

„Rok 2025 jest w ocenie badanych jednym z siedmiu najgorszych dla świata w okresie objętym badaniami, czyli od roku 1986. Wyniki dotychczasowych badań pokazują, iż – w odbiorze Polaków – pandemia COVID-19 rozpoczęła trwający już sześć lat okres złej pasy dla naszego globu, a pierwszy rok wojny na Ukrainie skutkował jeszcze okresowym pogłębieniem negatywnych nastrojów” – podkreślili autorzy.

Respondenci pracujący zarobkowo, choćby w niepełnym wymiarze godzin, oceniali także, jaki był wpływający rok dla ich zakładów pracy. 64 proc. uznało go w tym wymiarze za – najogólniej rzecz biorąc – dobry. Pozytywnych ocen jest więcej o 5,3 pkt proc. niż rok temu, przy czym przybyło przede wszystkim bardzo dobrych i dobrych (łącznie o 4,4 pkt proc.).

Na poziomie zbliżonym do ubiegłorocznego kształtuje się odsetek badanych uważających mijający rok za zły dla swoich zakładów pracy (12,1 proc., wzrost o 0,5 pkt proc.). Zmniejszyła się natomiast grupa, która oceniła, że mijający rok był dla ich zakładów pracy „ani dobry, ani zły” (19,7 proc., spadek o 6,9 pkt proc.).

Na tle pracujących w innych sektorach znacznie gorszymi ocenami 2025 roku w odniesieniu do swojego miejsca pracy wyróżniają się badani pracujący w prywatnych gospodarstwach rolnych. Wśród nich ocen pozytywnych jest 41 proc.

Obawy o bezpieczeństwo

Wojtek, 43 lata, informatyk. Mijający rok był dla niego do-

bry, bez fajerwerków, jak mówi, ale bez wielkich nieszczeń. On wciąż najbardziej boi się wojny, tego, co dzieje się za wschodnią granicą, na Bliskim Wschodzie w Ameryce Łacińskiej.

– To się może wymknąć spod kontroli – uważa.

I tłumaczy: nikt się nie spodziewał, że Putin rozpocznie wojnę w Ukrainie. Ale tak się stało. Wojna trwa już prawie cztery lata i nic. Putin nie cofnie się o krok. Z kolei Trump to biznesmen, który na wszystko patrzy przez pryzmat pieniędzy, dla niego nieważne, jak skończy się ta wojna, grunt, żeby na tym zyskał.

– Do tego konflikt na Bliskim Wschodzie, zamieszanie w Wenezueli, bo porwanie przez Amerykanów prezydenta Maduro daje do myślenia. Wprawdzie to dyktator, ale przywódca suwerennego państwa. To co, Trump może sobie teraz porwać kogo chce, łamiąc przy tym międzynarodowe prawo? Na świecie nie dzieje się dobrze. Są rzeczy, na które nie mamy wpływu i takie sytuacje najbardziej mnie stresują, wywołują u mnie strach – przyznaje Wojtek.

Obawy Wojtki nie są bezzasadne. Wprawdzie Polacy najbardziej boją się, że w 2026 roku zetkną się z trudnościami w dostępie do służby zdrowia, tak przynajmniej wynika z nowego sondażu IBRIS dla Wirtualnej Polski, ale drżą też o bezpieczeństwo swoje i kraju. I tak, ankietyowani pytani o to, czego najbardziej obawiają się w 2026 roku, mieli wskazać trzy z kilkunastu odpowiedzi. Okazuje się, że głowy Polaków najczęściej zaprzątają problemy z dostępem do służby zdrowia. Opcję tę wskazało 47,5 proc. respondentów. Na drugim miejscu znalazły się za to obawy o pogorszenie zdrowia własnego lub bliskich. Tę odpowiedź wybrało 45,3 proc. badanych.

**PONAD TRZY PIĄTE BADANYCH
(62 PROC.) STWIERDZIŁO, ŻE ROK
2025 BYŁ DLA NICH DOBRY. ZALEDWIE 7,9 PROC. ANKIETOWANYCH
UZNAŁO GO ZA BARDZO DOBRY**



Najbardziej boimy się jednak tego, co związane z naszym zdrowiem, to ono od lat jest dla Polaków najważniejsze. O tym, że w kwestii zdrowia rośnie świadomość Polaków, świadczy chociażby fakt, że nie zamierzamy na nim oszczędzać

Kolejnym najczęściej wskazywanym lękiem Polaków są zagrożenia bezpieczeństwa kraju, które wskazało 44,2 proc. ankietowanych. Niewiele mniej, bo 43,3 proc., deklaruje za to, że obawia się o sytuację wewnątrz kraju – niestabilność polityczną i spory.

Kolejne miejsca zajmują lęki o wzrost kosztów życia, czyli kwestie takie jak inflacja, rachunki czy ceny żywności (41,5 proc.), a także o utratę pracy lub źródła dochodu (21,8 proc.). Na ostatnim miejscu znalazła się obawa o zmiany klimatyczne i gwałtowne zjawiska pogodowe (7,9 proc.), 2,4 proc. respondentów wybrało odpowiedź „nie wiem/trudno powiedzieć”, a 0,6 proc. „inne”.

Trudno się dziwić tym wskazaniom, bo sytuacja na świecie może niepokoić.

- Rok 2024 był krwawy. Rok 2025 był jeszcze gorszy. W 2026 roku wchodzimy w niebezpieczną epokę, w której rośnie przyzwolenie na przemoc – ostrzegła prof. Clionadh Raleigh, dyrektor generalna międzynarodowej organizacji ACLED, zajmującej się monitorowaniem konfliktów zbrojnych i przemocy politycznej na świecie. Według danych ACLED, w 2025 roku co szósta osoba na świecie była zagrożona konfliktami zbrojnymi. Nic nie wskazuje na to, by ta sytuacja miała się poprawić.

Cisza przed burzą w Azji. Okrągłe urodziny Ameryki i ostateczny test dla jej obec-

nego prezydenta Donalda Trumpa, którego polityka może szokować. Zamieszanie w Ameryce Łacińskiej. Wojna handlowa między Chinami i Stanami Zjednoczonymi. Bliski Wschód na beczce prochu. Wojna w Ukrainie, której końca nie widać. W kraju dalsza wojna prezydenta z rządem i coraz wyraźniejszy skręt w prawo.

- Wiele rzeczy może się wydarzyć. Powiem pani tyle: mimo że nie będzie wyborów w Polsce, to prorokuję, że to będzie bardzo gorący rok i jeśli chodzi o polityczne wydarzenia w naszym kraju i te na świecie – mówił w ostatnim wywiadzie były prezydent Aleksander Kwaśniewski. Tak, to może być trudny, niebezpieczny rok.

Zdrowie najważniejsze

Najbardziej boimy się jednak tego, co związane z naszym zdrowiem, to ono od lat jest dla Polaków najważniejsze, podobnie jak rodzina. O tym, że w kwestii zdrowia rośnie świadomość Polaków, świadczy chociażby fakt, że nie zamierzamy na nim oszczędzać. Jak

wynika z badań w 2025 roku Polacy planowali ograniczyć wydatki na elektronikę, rozrywkę i przyjemności, za to zamierzali inwestować w zdrowie i kondycję fizyczną.

Nie bez znaczenia w naszym postrzeganiu siebie, swojego zdrowia i kondycji jest rozwój medycyny. Dzisiaj leczymy choroby, które kiedyś uchodziły za nieuleczalne. Funkcjonują programy zdrowotne, także te profilaktyczne, z których spora grupa Polaków może korzystać i korzystać.

W ostatnich ośmiu latach wzrosło przekonanie, że ochrona zdrowia jest przede wszystkim obowiązkiem państwa, tak przynajmniej wynika z badań CBOS. Obecnie 56 proc. ankietowanych podziela ten pogląd, co stanowi wzrost o 15 punktów procentowych. Natomiast 38 proc. uważa, że ochrona zdrowia jest przede wszystkim obowiązkiem jednostki, tu widzimy spadek o 17 punktów procentowych. I wprawdzie 66 proc. Polaków negatywnie ocenia aktualną służbę zdrowia, kolejne 22 proc. ankietowanych jest z niej zadowolonych, ale prawda jest taka, że jed-

nak oferuje nam ona więcej niż jeszcze kilkanaście lat temu.

Ewa, 66 lat, wysoka, szczupła. Właściwie od zawsze dbała o siebie: jeździła na rowerze, spacerowała, nie zmieniła tego faktu, że już kilka lat temu przeszła na emeryturę.

- Wyjście do pracy wymusza na nas pewne zachowania. Trzeba wstać, ubrać się, zrobić makijaż. No i samo przebywanie między ludźmi jest motywujące, inspirujące, jest po prostu człowiekowi potrzebne – tak opowiada.

Szybko się pozbierała. Znalazła kilka pań, które, jak ona, nie chciały gnuśnić w domu. Postanowiły działać. Dwa razy w tygodniu chodzą na basen i gimnastykę, co drugi dzień biegają „na kijki”.

Razem z mężem podróżują. W ciągu roku są w stanie odłożyć na jeden zagraniczny wyjazd, byli już w Grecji, Bułgarii, Chorwacji.

- Do jedzenia kupuję produkty droższe, ale lepsze jakościowo – przyznaje. - Nie objadamy się, wolimy zjeść mniej, ale lepiej – mówi. Odstawili słodycze, czasami pozwolą sobie na jakieś kruche ciasteczko do kawy. W ich diecie jest dużo owoców i warzyw.

- W naszym wieku wizyty i lekarza to już niemal codzienność – mówi Ewa. I dodaje, że nie będzie wchodzić w szczególności, ale ich kalendarz na ścianie, na którym zaznaczają, do kogo i kiedy, jest cały na czerwono.

- Oczywiście, że na niektóre wizyty czekamy po kilka miesięcy. Czasami, żeby nie czekać, idziemy na badania prywatnie, ale nie zawsze nas stać, wtedy zostaje państwowa służba zdrowia. Czy to problem? Tak – mówi. I dodaje, że to kłopot zwłaszcza dla tych, którym się spieszy, bo dzisiaj skierowanie z adnotacją „na cito” wcale nie znaczy jutro, za tydzień czy za dwa.

Co ciekawe, CBOS w 2024 roku po ośmiu latach przerwy powróciło do badania zachowań prozdrowotnych Polaków. Według sondażu 61 proc. respondentów ocenia swój stan zdrowia jako co najmniej dobry. Jedynie 10 proc. badanych uważa, że ich zdrowie jest złe.

W porównaniu do 2016 roku, lepiej oceniamy swoją kondycję zdrowotną. Odsetek osób zadowolonych ze swojego zdrowia wzrósł o 6 punktów procentowych. Częściej zadowolenie ze swojego zdrowia deklarują mężczyźni, mieszkańcy największych miast, osoby lepiej wykształcone oraz te o wyższych dochodach.

Polacy uważają, że najważniejszym czynnikiem wpływającym na poprawę zdrowia jest właściwe odżywianie się – taką odpowiedź wskazało 50 proc. badanych. Dalej: niepalenie papierosów (27 proc.), regularne uprawianie sportu (26 proc.) regularne wizyty u lekarza (26 proc.).

Młodsze pokolenie uważa, że na nasz dobry stan zdrowia wpływ ma zwłaszcza uprawia-

nie sportu, starsze osoby stawiają na regularne wizyty u lekarza, niepalenie papierosów i niepicie alkoholu. Największe znaczenie zdrowemu odżywianiu przypisują osoby w wieku 25-44 lat.

Pieniądze też ważne

Zawartość portfela też spędza nam sen z powiek w 2026 roku. Bo wprawdzie sytuacja gospodarcza kraju jest lepsza, spadła inflacja, coraz więcej zarabiamy, ale też coraz więcej wydajemy.

Ewelina, 57 lat, wciąż czynna zawodowo. Zarabia w granicach 6,5 tys. złotych na rękę. Jeszcze dwa lata temu razem w mężem wynajmowali w jednym ze śląskich miast spore mieszkanie w kamienicy. Córka, Monika ze swoją rodziną – mężem, roczną córeczką i siedmioletnim synem, także płacili za wynajem trzypokojowego lokum w bloku z wielkiej płyty.

- Postanowiliśmy wziąć kredyt i wspólnie kupić dom pod miastem. Znaleźliśmy taki, w stanie zamkniętym surowym. Ma dwa osobne wejścia: górę miała zamieszkiwać Monika z rodziną, my dół – opowiada Ewelina: niewysoka, włosy do ramion, pełna energii.

Szybko obliczyli, że muszą wziąć 200 tys. złoty kredytu na wykończenie domu. Tak też zrobili. Było ciężko, bo wciąż wynajmowali mieszkania, a musieli już spłacać zadłużenie. Potem „ciężko”, zamieniło się w „tragicznie”. Przyszła wojna w Ukrainie, inflacja, podwyżki stóp procentowych, rata kredytu niemal się podwoiła. Ceny materiałów budowlanych też poszybowały w górę.

- Kiedy przyszedł fachowiec wycenić, ile weźmie za położenie wylewki w całym domu, stwierdził, że 8 tys. złotych, koniec końców wziął 19 tys., bo tak zdrożał materiał i koszty pracy – opowiada.

Za 200 tys. złotych zrobili połowę tego, co zamierzali zrobić. Przez dwa lata w dwie rodziny mieszała na parterze domu, w tym roku wykończyli piętro. Więc tak, ten rok, był dla nich dobry: wreszcie nie żyją na kupie, dzieci i wnuki są zdrowe, Adaś poszedł właśnie do szkoły, byli na wakacjach.

- Jest lepiej niż było, ale wciąż nie szalejemy z wydatkami. Oboje z mężem boimy się, żeby nas nie zwolniono z pracy, chcemy doczekać do emerytury, potem jakoś już będzie. Zawsze gdzieś sobie dorobimy – opowiada.

Czego najbardziej boi się w 2026 roku?

- Drożyzny, coraz wyższych cen w sklepach – mówi.

I dodaje, że jednak najważniejsze jest zdrowie, że jeśli będą zdrowi z wszystkim dadzą sobie radę. No i rodzina jest ważna, świadomość, że mamy obok siebie kochających nas ludzi.

PAP

FOT. 123RF

**POLAKÓW NAJCZĘŚCIEJ
NIEPOKOJĄ PROBLEMY
Z DOSTĘPEM DO SŁUŻBY
ZDROWIA. OPCJĘ TĘ WSKAZAŁO
47,5 PROC. RESPONDENTÓW**

MAREK ORAMUS: KAPITALIZM STAJE SIĘ KAMIENIEM U SZYI CYWILIZACJI

Należało się spodziewać, że wraz ze wzrostem kultury, ogłady, refleksji nad cywilizacją człowiek się ulepszy, zmieni. Nie zmienił się. Jest dalej taką samą krwiożerczą małpą, jaką był kiedyś. Tylko zamiast kościanej maczugi w rękę ma narzędzia nieporównywalnie potężniejsze, skutkujące masową zagładą – mówi Marek Oramus, pisarz, futurolog.

Anita Czapryn

Z jaką myślą wszedł pan w nowy rok?

Wszedłem z dwojakim stanem umysłu. W poprzednim roku udało mi się wydać książkę „Pieśń rąbanego lasu”; zawsze taki rok uważałem za udany. Ale w grudniu 2025 zniknęła moja witryna internetowa „Galaktyka Gutenberga. Marek Oramus o książkach i filmach”. Zmarł niespodziewanie kolega, który ją prowadził od strony technicznej. Okazało się, że zarejestrował ją na siebie. Najpierw „Galaktyka” wisiała w internecie przez pewien czas, potem została zdjęta, a w końcu platforma Consulting Service w ramach działalności kulturotwórczej sprzedała adres komuś, kto umieścił tam ogłoszenia porno z Hrubieszowa. Napełniło mnie to obrzydzeniem: w kraju uchodzącym za praworządny zamienia się witrynę walczącą o poprawę stanu cywilizacji w tubę pornograficzną.

Zanim przejdziemy do „Pieśni rąbanego lasu”, która bardzo mnie urzekła, zwracam się do pana jako futurologa: co Pana najbardziej niepokoi politycznie albo cywilizacyjnie w nowym roku 2026?

Przeczytałem ostatnio książkę Wellsa z 1913 roku „Świat wyzwolony”. To pierwsze wydanie polskie, wcześniej nie było tłumaczenia. Książka była naprawdę wizjonerska: w 1913 roku Wells przewidział użycie bomb atomowych. Wtedy fizykom nawet się nie śniło, że istnieje reakcja łańcuchowa, a on już z tego zrobił bombę A. Oczywiście opierał się na pracach Soddy’ego i Rutherforda, ale dopiero chyba w 1933 roku opublikowano koncepcję reakcji łańcuchowej. Wells pisał tę książkę przed pierwszą wojną, w 1913 roku, wyszła na początek 1914. W 1914 wybuchła pierwsza wojna zwana Wielką, bo wtedy myślano, że większych już nie będzie. Jakże się

mylili chłopcy i dziewczynki, prawda?

W swojej książce też pan bywa profetyczny. Po pierwsze, przewidział, że Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich upadnie. Napisał Pan też: „Wojna być musi i nie wiem, czy życzyć jej sobie prędko, czy dopiero na starość”. Wygląda na to, że Pan wywróżył.

To się sprawdza, bo idzie rażno ku trzeciej wojnie. Niektórzy twierdzą, że ona już trwa, tylko nie zdajemy sobie z tego sprawy, bo ma dziś formę hybrydową. Żadna wojna się dokładnie nie powtarza. Wells miał za sobą doświadczenie wojen XIX-wiecznych: jeden głównodowodzący w polu, ataki i odpierania. W powietrzu nic nie latało, poza kartaczami i pociskami z dział. A Wells już wprowadza centralne sztaby, które komendują wojskiem z jednego punktu i stają się celem ataków z powietrza, bo on wprowadza też wojnę w powietrzu. W „Świecie wyzwolonym” wojna jest naznaczona na rok 1956. Sprawdziło się to z nadatkiem: I wojna zaczęła się w 1914, II wojna w 1939. W książce wojna trwa względnie krótko, parę lat, państwa centralne: Niemcy, Rosja występują przeciwko koalicji brytyjsko-francuskiej. Wojna kończy się ogólnym porażeniem cywilizacji: główne miasta w ruinach, skażenie promieniotwórcze po wybuchach. Wtedy nikt nie zdawał sobie sprawy, że takie odpady będą. Okazuje się, że to jest jeden z najgroźniejszych skutków

użycia tej broni. W Hiroszimie jeszcze dziś podobno liczniki pokazują, że coś promieniuje pod nogami, bo ruiny zostały zachowane. Po tej wojnie u Wellsa ludzkość jakby oprzytomniała: tak dalej nie można, bo nastąpi samozagłada. Zaczyna się organizacja rządu światowego, władzy centralnej nad światem. To w ogóle oczko w głowie Wellsa: w co drugim traktacie pojawia się rząd światowy, który radzi sobie ze wszystkim. Antidotum na bolączki militarne, społeczne, cywilizacyjne.

No to byłoby cudowne, taki jeden rząd, prawda?

Byłoby cudownie, tylko że to utopia. Mieliliśmy Ligę Narodów, mamy ONZ i widzimy, jaką rolę odgrywają.

Jeden rząd dawałby nadzieję, że nie byłoby wojen.

Pod warunkiem, że taki rząd zyska posłuch. Poza tym natury ludzkiej nie da się odmienić z dnia na dzień. Wierzę, że mamy takie okresy, kiedy jesteśmy lepsi, mili. Święta są takim czasem, kiedy dobro się wyzwała. Ale ledwo miną, zaczyna się z powrotem to, co było. Zwłaszcza kiedy ludzie w mundurach skrzykną się z pomysłem na wojnę, taką jak ta na Ukrainie.

A teraz jeszcze Wenezuela. Co pan pomyślał?

Pomyślałem, że Trump robi to samo co Putin, tylko sprawniej i inaczej. Jak to się mówi: bogatemu nikt nie zabroni. Oczywiście w samej Wenezueli działa

się rzeczy straszne: dyktatura, zbrodnie, morderstwa, eksport narkotyków do Ameryki. Oni z czegoś musieli żyć poza ropą. To był bogaty kraj przed nastaniem tam socjalizmu.

Czy granica narkotykowa zostanie zamknięta?

Trump ją zamykał konsekwentnie od jakiegoś czasu: obstawiał morze statkami i kutry nie mogły wywozić narkotyków tak swobodnie jak wcześniej. To na pewno ulegnie zahamowaniu. Ale dziś czytam, że wcale nie Wenezuela była głównym dostawcą, tylko Kolumbia, a w Kolumbii nic się nie zmienia. Prawdopodobnie Trump chciał położyć rękę na ropy wenezuelskiej. To kraj z olbrzymimi zasobami ropy. Ale, jak mówił Tyrmand: „Zaprowadźcie na Saharze komunizm, to po tygodniu zabraknie piasku”. Nieudolna gospodarka, marnotrawstwo, zło, dzieje się itp. spowodowało, że zeszli prawie do poziomu Kubę. Było duże niezadowolenie społeczne, nędza, wspominało się nawet o głodzie.

Zastanawiałam się, co łączy dziennik ze stanu wojennego i wybór felietonów, bo to przecież Pański wybór. Ta książka to był gest domknięcia czegoś?

Na pewno. Z jednej strony domknięcie rozliczeń ze sobą po stanie wojennym, bo ucierpialem wtedy i indywidualnie, i rodzinnie. I cały kraj ucierpiał. Byłem z tym krajem w komitywie w tym ucierpieniu. Z drugiej strony chciałem domknąć felietony. One są cywilizacyjne: o obyczajach, o nauce, o rzeczach, na które trafiałem i które mnie dziwiły. Na przykład: „Kto ukradł czarną dziurę?”; byłem zdumiony, że coś takiego w ogóle może się zdarzyć. A teraz okazuje się, że jakaś czarna dziura, odległa o dziesięć miliardów lat świetlnych, leci z prędkością dziesięciu milionów kilometrów na godzinę.

To jest potwór: ma jakieś sto milionów mas Słońca, zgarnia wszystko na drodze swoim horyzontem zdarzeń. Idzie jak pług śnieżny, że nawiązę do zimy, jaką mamy, i czyści przesiekę przez kosmos. Dokąd zmierza? Nie wiadomo. Prawdopodobnie, w wyniku wypadkowych grawitacyjnych, wyleciała z układu dwóch albo trzech czarnych dziur. One się czasami zlewają i wtedy idzie potężna fala grawitacyjna. Tu się obróciło inaczej: jedna została wystrzelona i pruje kosmos z niewiarygodną prędkością. Takie fenomeny bardzo mnie interesują, bo to są wielkie energie, wielkie masy. Człowiek nie może stanąć temu na drodze, ani sam, ani z tym, co posiada, bo zostałyby zmiecione, połamane i zamienione na makaron.

Pana felietony widzę jako laboratorium diagnoz społecznych. I myślę: czy dzisiejsza publicystyka ma jeszcze czas na myślenie? Czy widzi pan, w którą stronę skręca świat i po czym to poznać?

On nie skręca nigdzie. On już wali naprzód.

Jak ta czarna dziura (śmiech)?

Wali dyszlem w potok, po prostu. Trzeba by ogromnego impulsu, żeby go nakłonić do skrętu albo zawrócić, a bodajże jest to niemożliwe. Zostaje nam obserwowanie co bardziej malowniczych przejawów apokalipsy, która się szykuje, opisywanie tego i dodawanie niewielkich ekstrapolacji: dokąd to może pójść i jak się skończy. Jestem tu całkowicie pesymistą; nie widzę szans na nic. Czasami dziwi mnie, że ludzie pięćdziesiąt lat temu już widzieli to zagrożenie. Świat był wtedy piękny: trzy miliardy ludzi, mało zanieczyszczeń. Owszem, były tendencje niepokojące, ale wydawało się, że to się samo naprostuje. Nie naprostowało się. Ka-

pitalizm? Jego przydatność się kończy. Zysk i słupki wzrostu przestają być miarodajnymi wskaźnikami rozwoju cywilizacji. Nie stać nas na gigantyczne marnotrawstwo, które odbywa się choćby przy okazji świąt: papier, śmieci, plastiki, prezenty, niepotrzebnie wyprodukowane rzeczy. Do tego potrzeba ludzkiego trudu, energii, wszystkiego. Na to już nas nie stać jako cywilizacji. Ten model się przeżył. Nie przeżył się jeszcze w umysłach ludzi, bo ludzie działają z inercją, ale jako narzędzie rozwoju cywilizacji jest już nieprzydatny. Jest jak kamień u szyi cywilizacji, jeśli cywilizacja ma szyję.

Co uważa pan dziś za toksyczne paliwo współczesnej rzeczywistości czy polityki?

Naturę ludzką. Człowiek jest zepsuty do szpiku kości. I to nie jest kwestia ostatnich lat czy dekad, ani nawet ostatnich wieków. Tak jest od zarania, człowiek ma wbudowany błąd, komponent agresywny. Być może to pozwoliło mu przetrwać, inaczej drapieżniki by go pożarły i nie rozmawialibyśmy dziś przy tym stole. Nie byłoby ani stołu, ani tego domu, ani niczego. Z biegiem czasu należało się spodziewać, że wraz ze wzrostem kultury, ogłady, refleksji nad sobą człowiek się ulepszy, zmieni. Nie zmienił się. Jest dalej taką samą krwiożerczą małpą, jaką był kiedyś. Tylko zamiast kościanej maczugi w rękę ma narzędzia nieporównywalnie potężniejsze, skutkujące masową zagładą.

Jakie to narzędzia?

Przede wszystkim technika. Mam wrażenie, że ci, którzy wymyślają narzędzia, są na innym poziomie niż ci, którzy potem je dostają do użycia. A ci, którzy ich używają, nie nadążają za potęgą środków, które wpadają im w ręce. Mam na myśli polityków i wojskowych, bo to oni podejmują de-

*CZŁOWIEK JEST ZEPSUTY
DO SZPIKU KOŚCI. I TO NIE JEST
KWESTIA OSTATNICH LAT CZY
DEKAD, ANI NAWET OSTATNICH
WIEKÓW. TAK JEST OD ZARANIA*



Oramus: Medycyna na pewno robi obecnie ogromny postęp. Ale część jej badań może służyć sterowaniu człowiekiem

cyje. Potem są ludzie od propagandy: trzeba uzasadnić politykę, a potem ją relacjonować odpowiednio. Pole do nadużyć jest ogromne. I dopóki nie umiemy tych ludzi okiełznać, przy tym złudzeniu, że reszta, tak zwana milcząca większość, jest dobra, spolegliwa, dopóty będzie źle. Wczoraj rano czytałem o zbrodniach, od których włos się jeży. Ktoś komuś wepchnął nóż w brzuch. Ktoś zgwałcił dziecko, półtora-roczone. Dzieją się straszne rzeczy, o których nie zdajemy sobie sprawy.

Obiecałam, że wrócę do pierwszej części książki, do stanu wojennego, tego autentycznego zapisu z tamtych czasów, bez upiększania, bez wygładzania, bez redakcji. Po co pan to napisał? Żeby pamiętać, czy żeby nam, czytelnikom, łatwiej było zrozumieć teraźniejszość? To nie było pisane z myślą o publikacji. Pisałem z dnia na dzień, najpierw częściej, potem rzadziej, właściwie dla siebie. Żeby nie uleciała pamięć o tym, co się dzieje. Żeby zanotować swój stan psychiczny, bo sądziłem, i słusznie, że to próba ze strony świata zewnętrznego. Kiedy zdecydowałem się opublikować, za radą kolegów, którzy mówili, że można to pokazać,

stałem przed pytaniem: czy to „czyścić”, czy nie. Tam była taka rzeczywistość, że się przeklinało, płakało, robiło różne rzeczy. Postanowiłem więc zostawić tak, jak było. A po co? Po pierwsze jako zapis historyczny. Z tego, co wiem, są znakomici krytycy zajmujący się literaturą stanu wojennego, którzy nie wiedzieli ani o tej książce, ani o mojej wcześniejszej książce o stanie wojennym, „Święto śmiechu”. Więc to jest świadectwo czasu i wiadomość o tym, co się wtedy z mną działo. Wyniknąłem na rynku fantastyki naukowej właściwie znikąd. Pojawiła się powieść i człowiek, całkiem anonimowy, nagle stał się znany; takie to były czasy. Ta książka zasypuje pewien rów niewiedzy, choć to oczywiście nie był jej główny cel. Główny cel, który zrealizował się niejako po drodze, to pokazanie tego, co oddaje tytuł: naród, ukryty w metaforze rąbanego lasu, próbuje przeżyć i jakoś się ostać mimo bezlitosnego wyrębu. To jest metafora, która mi pasuje do obrazu stanu wojennego.

Co z tamtego doświadczenia najczęściej dziś do pana wraca? W ogóle coś wraca? Wraca strach przed tym, jak łatwo spory naród zamienić

w stado baranów: terroryzując przywódców, zamykających, wprowadzając reglamentację, cenzurę i tak dalej. Jak łatwo taki naród ujarzmić. Nie zerwała się żadna partyzantka, zresztą słusznie, bo byłoby dużo bardziej krwawo. Ale jest wąski przedział między łagodnym bytowaniem a katastrofą. To można odnieść do dzisiejszych czasów: my sobie spokojnie egzystujemy, a nie wiemy, czy za kilka dni nie wybuchnie wojna, czy nie zostanie wprowadzone prawo stanu wojennego, uzasadnione wojną, że nie wolno tego czy tamtego. To jest dla mnie przestroga: nie można być niczego pewnym. W 1981 roku byłem przekonany, że idzie ku lepszemu. Że naród się ogamą, że coraz więcej wolno, że wychodzimy z imadła; wszystko się zachwiało w momencie ogłoszenia stanu wojennego. Uważałem stan wojenny za absurd. Z punktu widzenia tchórzliwej władzy namiestniczej to było świetne wyjście: marszałkowie na Kremlu pochwalili naszych wojskowych za taki wynalazek. Stan wojenny nie był wcześniej zastosowany.

W stanie wojennym został pan negatywnie zweryfikowany jako dziennikarz i miał pan zakaz pisania. To bolało?

Boleć nie bolało, to nie była rana. A i tak przecież pisałem. W stanie wojennym rozpisałem się literacko, wydałem chyba cztery książki napisane wtedy. Miałem rodzinę z małym dzieckiem, musiałem zarabiać. Natomiast pod sam koniec stanu wojennego zrobiło się nieprzyjemnie i zdecydowaliśmy się wyjechać do Niemiec. Moja żona była pochodzenia niemieckiego, więc z łatwością uzyskała obywatelstwo. Przede mną stało pytanie: co ja tam będę robił? Wziąłem swój dyplom polit techniki i poszedłem do elektrowni Rybnik. Zatrudniłem się tam na zasadzie ćwiczeń przed pracą w niemieckiej elektrowni, bo wiedziałem, że będę musiał zaczynać od dołu. W międzyczasie żona z dzieckiem wyjechali, kombinowaliśmy, żeby wyjechać osobno, bo razem nie wypuszczali. Kończyłem wtedy powieść „Dzień drogi do Meorii”, chciałem ją zostawić w kraju już gotową. Ale kiedy przyjechałem do Niemiec, było już po małżeństwie. Zabrałem się i wróciłem do Polski.

Na dworcu w Essen na wielkiej podświetlanej ścianie leciały wiadomości. Czytałem: Arbeitsführer Lech Walesa wezwał robotników do demonstracji gegen Regierung... nie mogłem sobie przypomnieć, że Regierung to rząd. Ale pomyślałem: wracam w ciekawym momencie, coś się będzie działo. To było lato 1988 roku, potem poszło błyskawicznie. Wróciłem do dziennikarstwa, pracowałem w „Czasie Krakowskim”, potem w „Fantastyce” i znalazłem się na swoim miejscu. Tylko że bez rodziny, bez dziecka, bez żony. Trzymałem się z dala od polityki, interesowało mnie raczej to, co się dzieje z cywilizacją, kulturą, społeczeństwem.

Co dziś dzieje się z cywilizacją? Czy AI jest królową nowych technologii? Ludzie pytają Chat GPT jak wyrocznie o wszystko.

Ludzie zwracają się do Chata GPT, dostają absurdalne odpowiedzi, uznają je za stuprocentowo prawdziwe i się na tym przejeżdżają. Są dwa rodzaje sztucznej inteligencji. Jedna, prosta, której uosobieniem jest Chat GPT. Druga to pełna sztuczna inteligencja, tak zwana mocna: ma te same kompetencje umysłowe co człowiek, ale ma dostęp do narzędzi, o jakich my nie marzymy, i do szybkości. My, istoty białkowe, w porównaniu z nią jesteśmy jak ślimaki... jak nieruchome pomniki nieudolności. Ta sztuczna inteligencja, której używamy, jest użytkowa: można ją włączyć, wyłączyć. Chociaż nie wiadomo, co się tam kluje na zasadzie emergencji. Czytałem esej, że pomiędzy włączeniem komputera a wy-

świetleniem pierwszych sygnałów na ekranie jest obszar zupełnie niekontrolowany; martwy odcinek. I więcej jest takich odcinków; fachowcy wiedzą lepiej. W drutach może się załęgnać, na zasadzie emergencji, przechodzenia ilości w jakość, inteligencja większego rodzaju. Znaczący nazywają ten moment Osobliwością, przewidują go na rok 2030.

Co będzie tematem politycznym tego roku i najbliższych lat: AI czy klimat?

Wszystko naraz. I klimat, i sztuczna inteligencja, i wojny, które będą trwałe, i polityczne przepychanki. Układ dwubiegunowy zmienił się w wielobiegunowy: doszły Chiny, Rosja słabnie, ale jeszcze się liczy, powstają nowe siły, Brazylia staje się mocarstwem, Japonia się odradza. Jest trochę krajów, które za chwilę będą aspirować do tego, żeby się z nimi liczyć. A ponieważ Ziemia jest ciasna i już zagospodarowana, to jeśli ktoś chce wkroczyć na jakiś teren, musi wejść w konflikt z kimś, kto tam siedzi. Popatrzmy na Grenlandię: są mieszkańcy, załogi duńskie, długo nie miało to znaczenia. Ze względów strategicznych Grenlandia bardzo by się Trumpowi przydała. Do tego lody schodzą i pokazują, że jest pod spodem; okazuje się, że na Grenlandii jest to i tamto do wykopania. To samo dzieje się na Antarktydzie, w Arktyce. Odsłaniają się nowe rejony świata, które można psuć. Są koncepcje wydobywania konkretnej mineralnych z dna oceanów. Paszcze koparek, sterowane z góry, będą jechały po dnie, zagarniały urobek, wynosiły na powierzchnię do przeglądu, a szlam z powrotem wrzucały do wody. To jest załatwienie oceanów definitywne. Zanim oceaniczne życie dojdzie do siebie, minie dziesięć tysięcy lat.

Jest jakiś obszar, w którym człowiek robi postęp, i to bez ironii? Medycyna, bezpieczeństwo, nauka?

Medycyna na pewno. Ale część jej badań może służyć sterowaniu człowiekiem. Czytałem takie anonse, że po drganiu mięśni na szyi - wiem, jak to kuriozalnie brzmi - będzie można odczytywać myśli ludzkie. Że są daleko posunięte badania i zajmuje się tym wojsko. Inwigilacja elektroniczna to już stała rzeczywistość naszego życia. A taka czysta dziedzina, choć też nie do końca, bo nic nie istnieje bez powiązań z wojskiem i polityką, to astronautyka. Będzie się wychodziło w kosmos. Dziś chyba zaczęło się odliczanie w programie Artemis do startu w stronę Księżyca. To będzie coś jak Apollo 8: pod presją rosyjską, bo tamci też chcieli wylądować, Amerykanie zdecydowali się na bardzo ryzy-

kowny krok i puścili bez przeciercia załogę wokół Księżyca; kilka okrążeń i powrót. Działo się to w Boże Narodzenie 1968 roku. Astronauci, kiedy już widzieli, że wszystko się powiodło, czytali z orbity Księżyca fragmenty Genesis. To zrobiło na świecie bardzo dobre wrażenie. Teraz będzie wyścig amerykańsko-chiński o Księżyc, zwłaszcza o jego biegun południowy, bo tam jest woda, pokłady lodu. W związku z tym będzie albo latająca baza amerykańska, albo stała baza na Księżycu. To samo kombinują Chiny, przy czym bardzo się interesują odwrotną stroną Księżyca. To znaczy, że techniki mają porównywalną z amerykańską, jeśli chodzi o Księżyc. Rosjanie zaczęli wypadać z konkursu, bo nie mają pieniędzy. Myślę, że wojna na Ukrainie doprowadzi Rosję do rozpadu i to jest moja przepowiednia. Może nie na ten rok, ale w najbliższym czasie: rozpad na mniejsze państwa. Rosja tej wojny nie udźwignie przy takim sposobie prowadzenia. Nie ma na to dość roszumu ani pieniędzy.

Można odnieść wrażenie, że Donald Trump bardzo pomaga Rosji.

Trump działa według mnie irracjonalnie. Czytałem książkę, w której napisano, że Rosjanie coś na niego mają i wtedy jego postawa jest zrozumiała. Poza tym to człowiek sędziwy, zmurszały miazdżycow. Tylko że za plecami Trumpa nikogo nie widać i to jest najgorsze. Nie widać nowego Reagana. A to jest moment, kiedy można by położyć Rosję na plecy i przespacerować się po niej tam i z powrotem. Jest koncepcja, że Rosja pomoże w wojnie z Chinami, ale nie ma gwarancji, że pomoże nam, tylko raczej pomoże Chinom. Nie ma żadnej świetlistej drogi przed cywilizacją, żadnej przesłanki, która by wskazywała, że wszystko będzie OK i nie ma się czym martwić.

W takim razie: czy jest coś, co dziś zachwycą jeszcze w pojedynczym człowieku?

Tak. Człowiek jest bardzo piękną maszyną biologiczną. Oglądam dużo sportu, bo transmisje sportowe pozostają, mam wrażenie, nie zafałszowane. Oglądam lekkoatletykę, piłkę nożną i widzę, jak te maszyny biologiczne działają. Ale czytając też książki, czasem obejrzę film i widzę, że człowiek ma niekiepski mózg i zdolności twórcze, które składają do produkcji imponujących rzeczy. W tym tkwi wielkość człowieka: w połączeniu biologii, ruchliwości, impetu, z możliwościami umysłowymi. Tylko jak wyjść z węzła cywilizacyjnego? Jak nad tym kryzysem zapanować? Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby mi to ktoś powiedział.

IM WIEKSZY NIEPOKÓJ, TYM WIEKSZE KOLEJKI PO ZŁOTO

Co warto wiedzieć przed zakupem złotych monet inwestycyjnych?
O inwestowaniu w złoto oraz kryptowaluty
rozmawiamy z Maciejem Peteją z IDF Metale w Katowicach

Jolanta Pierończyk

Jak rozpoznać autentyczność monet?

Niedawno spotkałem się w internecie ze stwierdzeniem, że nie ma stuprocentowej techniki na sprawdzenie autentyczności monet. Że jedyna możliwość to taka, że przetapiamy i sprawdzamy, czy to jest złoto. Ale w internecie, jak wiadomo, jest wiele różnych treści. Ja osobiście, odpukać, nie spotkałem się z monetami podrabianymi, a cały czas słyszę - także od klientów - że zalewani jesteśmy monetami podrabianymi. Ja, jak już powiedziałem, nie spotkałem się z nieprawdziwymi monetami i mam nadzieję, że tak pozostanie do końca mojej zawodowej kariery. Ale jeśli chodzi o sposoby na potwierdzenie autentyczności, to ja bym wyróżnił dwie grupy tych sposobów. Jedne to takie, którymi dysponują podmioty profesjonalne. I to są urządzenia, które sprawdzają parametry monety, ponieważ złoto ma bardzo unikalne właściwości i pewnie dlatego od tysięcy lat jest w obiegu. Bo te właściwości za pomocą bardzo zaawansowanych urządzeń można sprawdzić. Natomiast są też sposoby dostępne każdemu. Jeśli mówimy o monetach - złotych czy srebrnych - to wystarczy położyć monetę na wadze i sprawdzić, czy faktycznie ma taką wagę, jaką podaje producent. Można też wziąć suwmiarkę czy linijkę mieniczą - obie sprawdzają średnicę i grubość. W linijce są wcięcia, gdzie pisze np. średnica Filharmonika albo jego grubość, przykładamy taką monetę i sprawdzamy. Jeśli nie chcemy mieć linijki mieniczej, wystarczy suwmiarka i wiedza na temat średnicy czy grubości danej monety. A przy pomocy wagi sprawdzamy wagę. Jeśli to się zgadza, to możemy przyjąć, że moneta jest autentyczna. Natomiast ja do tego proponuję jeszcze test dźwięku. Każda

moneta, ze względu na swoje wymiary, inaczej dźwięczy. Są aplikacje na komórkę, płatne czy bezpłatne, jest ich wiele, za pomocą których dźwięk wybranej monety sami możemy sobie potwierdzić.

Czy państwo jako sprzedawcy sprawdzają autentyczność monet?

Oczywiście, i często robimy to przy klientach. Zależy nam bowiem także na edukacji społeczeństwa. Oczywiście, zasada jest taka, że klient przynosi gotówkę i wymienia na złoto. Ale staramy się zawsze dawać coś od siebie. Mówimy, o co w tym wszystkim chodzi. Zdarzało się, że klient chciał kupić złoto na pół roku, co jest niebezpieczne, bo raz - to różnica między ceną sprzedaży a ceną zakupu, a dwa - nie ma pewności, że skoro w ciągu ostatniego pół roku cena złota wzrosła o 20 proc., to przez następne pół roku też o 20 proc. wzrośnie. Ludzie powinni wiedzieć, że złoto to raczej forma zabezpieczenia majątku na dłuższy czas. Jeśli ktoś przychodzi z innym założeniem, to ja mu mogę oczywiście metal sprzedać, ale uważam, że moją rolą jest uświadomić klientowi, że to może tak nie zadziałać. Że jest to niebezpieczne. Że złoto i w ogóle metale szlachetne - zważywszy na znaczące wzrosty w ostatnim czasie - można potraktować jako aktywo spekulacyjne, ale nigdy tego nie polecam, bo nigdy nic nie wiadomo.

Gdyby na liście lokat kapitału umieścić nieruchomości, złoto i inne, to jak w tym układzie plasuje się złoto?

To trudne pytanie. Odpowiem tak, jak ja uważam, ale ktoś może się ze mną nie zgodzić. I powiem tak: złoto to nie jest inwestycja, choć ostatnie miesiące czy lata pokazują, że można na nim zarobić. Ale to są wyjątkowe sytuacje. Kiedy zaczynałem tu pracę, to złoto

nie było aktywem, które robiło 20 czy 30 proc. w ciągu roku. Robiło kilka procent, góra dziesięć. Zarobić można było na innych aktywach. I może dlatego dziesięć lat temu złoto nie było tak popularne jak teraz. Natomiast ja osobiście uważam, że złoto powinien mieć każdy, ale - powtórzę - nie jako aktywo spekulacyjne, nie jako inwestycję, raczej jako formę zabezpieczenia pieniędzy. Bo każdy z nas powinien mieć jakąś poduszkę finansową, jakiś fundusz, z którego skorzystamy wtedy, gdy coś się wydarzy. I jeśli traktujemy złoto jako część poduszki bezpieczeństwa, a wręcz takiej poduszki, której nie mamy w zamiarze ruszać, to dla mnie złoto jest jednym z numerów 1. U mnie - subiektywnie to jest tak, że jest gotówka jako forma zabezpieczenia. Na drugim miejscu u mnie są metale szlachetne (zaczynałem od srebra, bo srebro było w moim zasięgu, a złoto jeszcze nie). Jak ktoś buduje portfel, kupuje srebro raz na miesiąc czy dwa. A dalej? Wszystko zależy od naszych możliwości. Może kryptowaluty? My mówimy o kryptowalutach tak jak o metalach szlachetnych - trzymamy, nie sprzedajemy, też nie spekulujemy, choć kryptowaluty postrzegane są jako aktywa spekulacyjne. My jednak polecamy kryptowaluty jako formę dywersyfikacji portfela, swojej poduszki finansowej: kupuj, zapomnij na kilka lat. Nic jednak nie proponujemy na siłę. Mam klientów, którzy mówią: „Nie jestem przekonany do krypto-

walut, nie chcę w to wchodzić” i ja to szanuję. Mam też grono osób starszych ode mnie, które mówią: „Nie do końca wiem, o co chodzi, ale spróbuję”. I jakąś część swoich funduszy w te kryptowaluty inwestują. Jeśli robią to w dłuższym terminie, to może to być ciekawe. Z perspektywy czasu mogą powiedzieć, że coś przyjemnego z tego jest.

Mamy te złote monety i co?

Trzymamy. Są osoby, które lubią sobie co jakiś czas wyjąć, pooglądać i nacieszyć się, zwłaszcza jak ktoś regularnie dokonuje zakupów. Mam młodych klientów, którzy regularnie kupują jakieś monety. Uważam, że jeśli ktoś jest młody, wchodzi w ten rynek, zaczyna uczyć się oszczędzania, to przyjemnie jest, jak raz na pół roku wyjmie sobie ten swój depozyt i widzi, że były kiedyś dwie monety, a teraz jest np. dziesięć. To motywuje do kontynuowania. Jak przechowywać? To kwestia indywidualna. Są dwie grupy osób. Jedna trzyma ten metal w miejscu, do którego ma dostęp 24 godziny na dobę i gdy coś się wydarzy, to można z tego skorzystać. Druga grupa trzyma go w bankach, w skrytkach, firmach specjalnych. Natomiast ja - wskutek rozmów z klientami - nie jestem zwolennikiem tej drugiej metody. Bo w tym momencie tworzymy sobie barierę. Kiedyś usłyszałem od klientów taką historię, że gdzieś na Kresach Wschodnich była mała miejscowość, jeden bank i w przededniu

wojny wszyscy mieszkańcy poszli wypłacić pieniądze. Wyszedł właściciel banku, powiedział: „Spokojnie, wszystko zostanie wypłacone, proszę przyjść o piętnastej, wszystko przygotujemy”. Przyszli o piętnastej, a tam kłódka na drzwiach. Więc ja osobiście nie chciałbym sytuacji, że stoję przed kratą i widzę, że w skrytce, w rogu są moje pieniądze, ale co z tego, kiedy nie mam do nich dostępu.

A teraz sytuacja odwrotna. Mamy monety, chcemy gotówkę. Przychodzimy w to samo miejsce...

Może być to samo lub inne, bo punktów sprzedaży metali szlachetnych jest więcej: nie tylko w Katowicach, Polsce, ale też za granicą. Monety, o których mówimy, są rozpoznawalne na całym świecie.

Cena kupna różni się od ceny sprzedaży?

Tak. Klienci kupują od nas po wyższej cenie (cena sprzedaży), a my odkupujemy po niższej (cena skupu). Weźmy przykład. Najtańsza moneta kosztuje w tej chwili [27 października 2025] 15 450 zł (tyle kosztuje Britannia). Gdybyśmy chcieli poznać cenę skupu, wchodzimy na naszą stronę internetową w zakładkę Skup, wybieramy pozycję „uncja”. Tu akurat mamy cenę za gram, bo teraz mówimy o monetach, ale są też sztabki, a im jest bliżej do gramów - 20, 50, 100 g. Więc żeby klientom, mam nadzieję, uprościć przeliczanie, podajemy wartości w gramach. A gram to w tej chwili [27 października 2025] 474,24 zł, więc mnożymy przez 31,1 g (uncja) i wychodzi 14 750 zł. Jak już przeszliśmy do różnicy między ceną zakupu a późniejszą ceną sprzedaży, trzeba pamiętać, że im mniejsze gramatury, tym cena za gram jest wyższa. Jeśli na przykład kupujemy dwie monety półun-

cjowe, to zapłacimy więcej niż za uncję w jednym kawałku. A jeżeli kupujemy dwie monety ćwierćuncjowe, to ta cena będzie wyższa niż w jednej połówce. Czyli im bardziej się rozdrabniamy, tym cena za gram rośnie przy zakupie, a przy odsprzedaży niekoniecznie. Trzeba mieć świadomość tego, że jeśli ktoś przyniesie sztabkę 100-gramową czy dwie pięćdziesiątki lub pięć dwudziestek czy nawet dziesięć dziesiątek, to dla mnie dalej jest to 100 gramów, a dla klienta przy odsprzedaży to będzie dość widoczna różnica między jedną 100-gramową sztabką a dziesięcioma 10-gramowymi.

Minusy inwestowania w złoto?

Chyba przechowanie. Jak mamy większą ilość, możemy czuć się niekomfortowo, że mamy w domu złota za kilkadziesiąt tysięcy. Ponadto trzeba pamiętać, że jest to aktywo inwestycyjne, notowane, czyli jego ceny rosną i spadają. Może być, że wejdziemy na drugi dzień po zakupie na stronę internetową i cena będzie niższa. Były takie sytuacje. Klienci byli niezadowoleni, ale to jest specyfika każdego notowanego aktywa. Trzeba mieć po prostu tego świadomość. Generalnie jednak wolę mówić o plusach niż o minusach.

To przejdźmy do plusów.

Jest ich bardzo dużo. Po pierwsze - mamy prawdziwy pieniądz. Złoto ma realną wartość, nieprzerwaną przez tysiące lat. Na papierku możemy sobie wydrukować, co się tylko chce. Druga kwestia: namacalny charakter złota czy innego metalu szlachetnego. Kiedy coś się dzieje, zapala się nam światelko, że musimy mieć coś realnego w domu, a nie papierki, które nagle tracą swoją wartość. Papierek to pieniądz fiducyjny (fides - za-

*PRZEZ TYSIĄCE LAT
NIE ZDARZYŁO SIĘ, BY ZŁOTO
STRACIŁO WARTOŚĆ, CO
ŚWIADCZY O JEGO SILE. JEST TO
AKTYWO PEWNE, NAMACALNE*



FOT. AUTOR

Maciej Peteja: Złoto powinien mieć każdy, ale nie jako aktywo spekulacyjne czy inwestycja

ufanie po łacinie), czyli oparty na wierze - wierzymy, że to jest warte tyle, ile tam napisano. W przypadku złota nie ma wiary, jest jego realna wartość. Dlatego jak coś się dzieje, uważamy, że warto ten metal mieć. Jak ja banknot przerwę na pół, to jest przerwany, a jak uncję złota podzielię na pół, to parę procent stracę, bo jednak uszkodzona, ale jak pójde do jubilera, to nadal to kupi, może taniej, ale nawet poprzecinane, poobgryzane to nadal jest to złoto. Coś, co przechowuje swoją wartość w czasie. Przez tysiące lat nigdy się nie zdarzyło, by złoto straciło wartość, co też świadczy o jego sile.

A więc aktywo pewne, namacalne, które można mieć w rękę. Trzecia kwestia: transakcyjność. Weźmy na przykład mieszkanie (oczywiście nic nie mam przeciwko mieszkaniom i inwestowaniu w nieruchomości). Gdy chcemy je sprzedać szybko, to musimy dać znaczący rabat. Natomiast jak chcemy sprzedać na szybko złoto, przychodzimy do punktu skupu metali i wymieniamy na gotówkę. Po aktualnej cenie za gram. Jak mówiliśmy, jest to aktualnie 474,24 zł za gram. I wcale nie trzeba oferować np. 300 zł, żeby było szybciej.

Cena jest stała - zarówno w Polsce, jak i w innym miejscu na świecie. Kolejna korzyść to mobilność. Mieszkania nie zabierzemy ze sobą, ziemi też nie, a metal wkładamy do plecaka czy kieszeni i w drogę. Poza tym - mieszkanie może spłonąć. A złotu ogień niestraszy. Nawet jak się roztopi (temperatura topnienia złota jest bardzo wysoka - 1064 stopnie Celsjusza, podczas gdy typowy pożar domowy osiąga 600-800 stopni, więc złoto przetrwa w formie stałej), to nadal jest to złoto. W innym kształcie, ale nadal złoto.

A zainteresowanie złotem? Czy są tzw. złote okresy dla złota?

Powiem tak: im gorzej, tym lepiej. Im większy niepokój społeczny, tym większe kolejki w takich miejscach jak nasze. Minus tego jest taki, że jak coś się dzieje, to nie tylko kupujemy my, czyli - niezbyt elegancko mówiąc - ulica, ale kupują też duże podmioty. Taka jest sytuacja w tym momencie. Jeśli chodzi o sztabki, nieważne, czy 1-gramowe czy kilogramowe, sztabek nie ma od kilku tygodni i przez kilka tygodni nie będzie, bo takie mamy informacje z mennic, z którymi współpracujemy.

Jak rośnie zainteresowanie, rośnie też cena. Jak wraca spokój, spada cena złota. Dlatego, co już mówiliśmy, nie należy patrzeć na wykresy. Po wzroście cen przyszła kiedyś klientka, żeby sprzedać swoje złoto. Bez konkretnego celu. Po co więc wymieniać na walutę, która cały czas traci na wartości?

A srebro, platyna?

Jeśli chodzi o platynę czy pallad, to my generalnie tymi metalami się nie zajmujemy, więc nie jestem tak bardzo na bieżąco. Ale powiem o jednej praktycznej rzeczy. Od razu podkreślę, że ja nie deprecjonuję ani platyny, ani palladu, bo to metale z dużym potencjałem, ale w tym roku mieliśmy sytuację, że przyszła do nas pani z jednouncjową monetą platynową i pyta, czy my kupujemy, bo ona obesza już całe Katowice i nikt tego nie chciał. Więc ja patrzę na metale pod kątem transakcyjności. Nie chciałbym zarobić 100, 200, 1000 proc. na jakimś aktywie, a potem mieć problem ze sprzedażą. Oczywiście mówię tu tylko o naszym lokalnym rynku, a Katowice to największe miasto w tym regionie i jeśli tu ktoś ma problem ze sprzedażą jednej uncji platyny czy palladu, to ja bym nie siedział w tym kierunku. Złoto czy srebro są aktywami jak najbardziej transakcyjnymi. Jeśli chodzi o srebro, to powiem, że bardzo wiele osób traktuje srebro (i słusznie) jako drobne do swojego portfela metalowego. Mówiliśmy, że im bardziej się rozdrabniamy, to cena za gram jest wyższa. Są więc klienci, którzy mówią: „Wiem, że w przypadku złota musiałbym wybrać mniejszą gramaturę, ale nie chcę płacić więcej, więc wybieram jednouncjowe monety srebrne”. Cieszą się one dużym zainteresowaniem. Srebro ma wielu fanów. Wszystkie mennice, które robią złote monety, robią je także w wersji srebrnej. Można więc mieć srebrnego Krugerranda, srebrny Liść Klonowy i wszystkie inne ze złotej szóstki. Jedynie w przypadku Kangurka - rewers tu się co roku nie zmienia, zawsze jest taki sam, tylko w złocie jest zmienny. Ceny srebra są zdecydowanie niższe od złota. Na przykład Liść Klonowy kosztuje ok. 234 zł.

I jeszcze parę słów o kryptowalutach.

Jeżeli kupujemy złoto fizyczne, to ono ma namacalny charakter. W przypadku kryptowalut tego charakteru nie ma. Upraszczając temat, kryptowaluty są w internecie, w specjalnej bazie danych którą nazywamy blockchain. To jest łańcuch bloków z danymi. Każdy blok ma określoną pojemność i jest zapeł-

niany transakcjami przeprowadzanymi w danym momencie, po czym jest zamknięty i transakcje rejestrowane są w kolejnym. I tak dalej. Cały bitcoin nie jest w naszych rękach, ale w tym właśnie blockchainie. Naszym zadaniem jest to, by nie utracić dostępu do tej bazy danych. Musimy temu systemowi udowodnić, że to my jesteśmy właścicielami danych transakcji. Są pewne podobieństwa do tradycyjnego systemu finansowego. Jeżeli chcemy komuś zrobić przelew lub on nam, obie strony muszą mieć konto w banku. Tak samo jest z kontem kryptowalutowym. Takie konto możemy stworzyć samodzielnie. Można to zrobić na różnych platformach w internecie. Początkową trudnością w przypadku kryptowalut może być nomenklatura, czyli niecodzienne pojęcia, typu blockchain, klucz publiczny czy prywatny. Można więc przyjść do takiego kantoru jak my i ja pomagam w stworzeniu takiego portfela czy konta. Nie wchodząc w szczegóły, powiem tak: konto można stworzyć w internecie, natomiast jak kupujemy kryptowaluty w dłuższym terminie i chcemy je bezpiecznie przechowywać, raczej korzystamy z czegoś, co się nazywa portfelem zewnętrznym. Ten portfel to swoisty pośrednik między nami a danymi w blockchainie, dzięki któremu potwierdzamy, że transakcja tam zapisana jest nasza i możemy robić kolejne. Portfel zewnętrzny - cold wallet - charakteryzuje się tym, że jest poza internetem, nie jest do niego podłączony, a tym samym nie jest narażony na żadne ataki, w przeciwieństwie do giełdy kryptowalut. Dlatego polecamy portfele zewnętrzne. Kryptowaluty mają też cechę wspólną z metalami szlachetnymi. Jeśli chcemy sprawdzić aktualną cenę złota, to oczywiście można wpisać „cena złota”, ale jak chcemy się dowiedzieć dokładnie, ile zapłacimy za sztabkę czy monetę, musimy się skontaktować z konkretnym dystrybutorem. Podobnie jest z kryptowalutami. Też można wejść na stronę, np. CoinMarketCap i sprawdzić aktualną średnią cenę kryptowaluty, natomiast jeśli chcemy się dowiedzieć, ile dokładnie za kryptowaluty zapłacimy, musimy się skontaktować z miejscem, gdzie tego zakupu chcemy dokonać. Kryptowaluty to ciekawy temat. Jak już powiedziałem, są traktowane jako aktywa spekulacyjne. Natomiast jak kupujemy w dłuższym terminie, to jest szansa, że te wszystkie spadki oraz wzrosty nas ominą i po jakimś czasie będziemy na plusie.

©©

ZŁOTO INWESTYCYJNE W PIGUŁCE

Najbardziej popularne monety inwestycyjne (przy których nie ma żadnego problemu w przypadku sprzedaży zarówno w Polsce, jak i na świecie) tworzą tzw. wielki kanon, czyli złotą szóstkę: Australijski Kangur, Kanadyjski Liść Klonowy, Wiedeński Filharmonik, Krugerrand z RPA, Britannia z Wielkiej Brytanii, Amerykański Orzeł z USA.

Z tej szóstki Krugerrand jest monetą najstarszą (pojawiała się na rynku w 1967 r.), dlatego wśród części inwestorów Krugerrand uważany jest za monetę numer 1.

Druga złota moneta pojawiła się w 1986 r. To Australijski Kangur, który jest jedyną monetą mającą co roku inny rewers. Ten kangurek co roku wygląda nieco inaczej. Jest to też jedyna moneta fabrycznie pakowana w kapsel, czyli przezroczyste pudełeczko.

Rok 1989. Pojawia się Wiedeński Filharmonik, jedyna moneta, która ma euro na awersie. Moneta bardzo popularna. Po pierwsze - bardzo ładna, po drugie - jest nam najbliższa rejonowo, po trzecie - jest bardzo charakterystyczna, bo ma największą średnicę (39 mm), pozostałe mają ok. 33 mm. Taki duży krążek robi wrażenie, ale uncja to uncja i przy swojej średnicy Wiedeński Filharmonik jest monetą najcieńszą. Przeciwnieństwem Wiedeńskiego Filharmonika jest Kanadyjski Liść Klonowy, którego średnica wynosi 31 mm i stąd jest najgrubszy.

W 1987 r. pojawiła się Britannia. Choć jest starsza niż Wiedeński Filharmonik, niektórzy wciąż kwestionują jej miejsce w wielkiej szóstce. Ale to moneta bardzo ciekawa. Ma uncję złota próby 999, ale nie zawsze tak było. Na początku była tam domieszka miedzi, jak w przypadku Krugerranda i Orła. Britannia jest piękna. Falujące tło, hologram w małym kółeczku, pierścieni z mikronapisami oraz zmienna grafika kłódki, która zmienia się pod różnym kątem patrzenia. Tym samym jest to bardzo dobrze zabezpieczona moneta. Ale to najnowsza wersja. We wcześniejszych tło było gładkie i nieco inaczej wyglądała Britannia, czyli ta postać.

Do momentu wprowadzenia do obiegu Britannii, za najlepiej zabezpieczoną monetę uchodził Kanadyjski Liść Klonowy (w obiegu od 1979 r.), ze swoim małym listkiem nazywanym hologramem, w którym jest aktualna data. Dodatkowo w nowych wersjach mamy coś, co według producenta jest nazywane jako Bullion DNA. Chodzi o to, że liść klonowy wybitny na rewersie umieszczono na tle jakby promieni słonecznych, które wplecione są w kod kreskowy. Mennica kanadyjska dysponuje specjalnym urządzeniem, które jest w stanie odczytać ten kod kreskowy i tym samym dodatkowo potwierdzić autentyczność monety.

Krugerrand oprócz tego, że najstarszy, to jest jedną z dwóch monet, które mają domieszkę innego metalu, tu jest akurat miedź. Co sprawia, że to jest próba 916,6, a moneta waży nie 31,1 g, jak by to wynikało z uncji trojańskiej, ale 33,93 g - to masa całkowita tej monety, w tym zawartość miedzi to 2,82 g.

Krugerrand też ma zabezpieczenia, ale to moneta, która wizualnie nie zmieniła się w ogóle od 1967 r., natomiast od 2017 r. pod tylną nóżką skoczniaka antylopiego jest mikronapis Krugerrand, widoczny pod bardzo dużym powiększeniem.

Amerykański Orzeł istnieje od 1986 r. Piękna moneta, ale cena jej zakupu jest znacząco wyższa od pozostałych, co sprawia, że mimo iż jest to moneta kanonowa, czyli z wielkiej szóstki, to jednak nie cieszy się większym zainteresowaniem. Podobnie jak Krugerrand, Orzeł ma domieszkę innego metalu. Też o wadze 2,82 g, ale tu ten dodatek jest podzielony na miedź i srebro. Więc ta moneta nie jest czerwonawa, jak Krugerrand, kolor Orła jest bladziutki.

Prócz tego Orzełka mennica USA ma też przepiękną monetę, subiektywnie mówiąc, Amerykańskiego Bizona. Bardzo rzadko go mamy, bo jak wszystkie monety amerykańskie, jest droższy od innych. Ale ta moneta ma swoisty sznyt, jak z dawnych wieków. Pięknie ukształtowane są wszystkie elementy. Niestety, kosztuje kilkadziesiąt złotych więcej, a przy odsprzedaży nie ma się co spodziewać, że dostaniemy więcej, więc nie za bardzo cieszy się powodzeniem.

Kiedy złoto było tańsze, relatywnie niedawno, za 60 tys. zł można było mieć sześć monet, teraz trzy. I wtedy klienci wybierali jednego Kangurka, jeden Listek, Filharmonika, Krugerranda i Orzełka. Teraz, kiedy złoto jest dużo droższe, to ludzie pytają: „Które najtańsze?” i nikt nie zwraca uwagi na te droższe monety. Choć są bardzo ładne.

Cały czas mówimy o monetach inwestycyjnych, które są jakby sztabkami w kształcie monet.

TRAGEDIE W PRACY. SZEFOWIE OSKARŻENI

Przedsiębiorca Emil G. z Torunia wkrótce stanie przed sądem. Ma odpowiedzieć za zaniedbania BHP, które naraziły jego pracownika na budowie - dla pomocnika dekarza skończyły się śmiercią, dla szefa firmy mogą oznaczać nawet więzienie

Małgorzata Oberlan

„A kogo chroni przed wypadkiem jakieś szkolenie BHP?”
„A co szef ma robić, jak ludzie kasków nie chcą nosić?”
„A komu życie uratuje jakieś BHP, jeśli sam się pcha tam, gdzie nie trzeba?”
„Jaki to niby brak nadzoru? Przecież szef nie będzie stał nad każdym w pracy”

Takie komentarze to standard po większości medialnych doniesień o zarzutach dla pracodawców, których śledczy i inspekcja pracy obarczają odpowiedzialnością za narażanie życia pracowników poprzez zaniedbania BHP i nieumyślne doprowadzanie do tragedii.

Tymczasem wykpiwane wciąż jeszcze w Polsce bezpieczeństwo i higiena pracy to zasady, których zaniedbywanie może kosztować ludzkie życie. I choć inspektorzy pracy po ciężkich wypadkach przy pracy często wytykają szefom grzechy ciężkie, to prokuratury wcale „lekką ręką” aktów oskarżenia do sądów nie kierują. Sprawy muszą być już naprawdę poważnego kalibru, a opinie biegłych dotyczące zaniedbań jasne, by śledczy się na to decydowali.

Śmierć na budowie w Grudziądzu. Oskarżony szef z Torunia

Oto sprawa z Kujawsko-Pomorskiego, najświeższa. W grudniu Prokuratura Rejonowa w Grudziądzu skierowała do sądu akt oskarżenia przeciwko Emilowi G. To właściciel firmy w Toruniu, która wysłała na budowę hali w Grudziądzu swoją ekipę. Był wśród niej pan Piotr, zatrudniony w charakterze pomocnika dekarza. Ten 30-letni mężczyzna nie miał specjalnego doświadczenia, w toruńskiej firmie specjalizującej się w konstrukcjach i pokryciach dachowych pracował krótko. Na budowie przemysłowej hali w kompleksie przy ul. Droga Graniczna pojawił się w czerwcu. Do tragedii doszło 28.06.2025 r. Pan Piotr miał



Ze statystyk GUS wynika, że choć wypadków przy pracy w 2024 roku i I półroczu 2025 r. było mniej niż w 2023 r. i liczba poszkodowanych spadła, to dramatycznie przybyło wypadków śmiertelnych i ciężkich

przygotować otwory w dachu hali do montażu świetlików. Wszedł w strefę niebezpieczną - jak to się mówi w branżowym żargonie. Wpadł do niezabezpieczonego otworu - jednego z tych, w których miały być montowane owe świetliki. Runął na beton z wysokości 15 m. Mężczyzna żył jeszcze, gdy przyjechało pogotowie. Wielonarządowe obrażenia były jednak tak rozległe i ciężkie, że walka o jego życie w grudniadziekiej lecznicy skończyła się przegraną. Pan Piotr zmarł.

Nastąpiło badanie sprawy nie tylko przez PIP, ale i policję oraz prokuraturę. Przesłuchania świadków. Opinia biegłego. Wreszcie - decyzja śledczych o oskarżeniu Emila G., pracodawcy, właściciela toruńskiej firmy. Przed sądem ma odpowiedzieć za zaniedbania skutkujące narażeniem życia pracownika i niemyślne doprowadzenie do jego śmierci. To przestępstwo, za które w Polsce grozi do 5 lat więzienia.

Według prokuratury, pan Piotr nie tylko nie został przez pracodawcę odpowiednio przygotowany do pracy (nie poddano go nawet wstępnemu instruktażowi stanowiskowemu BHP, nie zapoznano z „Instrukcją bezpiecznego wykonywania robót (IBWR) dla ro-

dzaju robót w postaci montażu pokrycia dachowego”, nie zaznajomiono z planem bezpieczeństwa i ochrony zdrowia BIOZ dla inwestycji). To byłyby grzechy lżejszego kalibru.

- Pracy tego mężczyzny w sposób odpowiedni nie nadzorowano. A była ona szczególnie niebezpieczna, wykonywana na wysokości; tymczasem - bez uprzedniej weryfikacji kompletności wyposażenia pracownika, z brakiem prawidłowego punktu kotwienia, a także brakiem zabezpieczenia i oznakowania otworów (miejsc do montażu świetlików) - wylicza prokurator Izabela Oliver, rzeczniczka Prokuratury Okręgowej w Toruniu.

Lista zaniedbań jest zatem długa i niebłaha. Emil G. do winy się jednak nie przyznaje. Dla niego, jako pracodawcy, to także życiowy dramat. Czym się skończy, zdecyduje sąd.

Śmierć na budowie we Włocławku. Szef się przyznał

Choć w Kujawsko-Pomorskiem, tak jak i całym kraju zresztą, wypadki śmiertelne - szczególnie na budowach - zdarzają się każdego roku, to akty oskarżenia przeciwko pracodawcom kierowane są do są-

dów rzadziej. Jak piszemy na wstępie, śledczy muszą zgromadzić naprawdę przekonujący materiał dowodowy, by się na taki krok decydować.

Włocławska prokuratura tego typu akt oskarżenia w 2019 r. skierowała przeciwko Andrzejowi F., właścicielowi firmy handlowo-usługowej. Do tragicznego wypadku doszło rok wcześniej, 20 sierpnia, na ulicy 14. Pułku Piechoty we Włocławku. Podczas prac na rusztowaniu 41-letni robotnik spadł na ziemię z wysokości 9 metrów. Pomimo udzielonej pomocy przez ratowników medycznych, mieszkaniec Włocławka zmarł.

Znów sprawę badały równolegle PIP i prokuratura. Wnioski były druzgocące dla pracodawcy. Ustalono, że zaniedbał już podstawy: dopuścił mężczyznę do prac na wysokościach bez lekarskiego zaświadczenia o braku przeciwwskazań (to obbligo). Andrzej F. nie zapewnił też należytego nadzoru nad pracami na wysokości. Więcej - zlecił pracownikowi wykonywanie pracy na rusztowaniu pozbawionym bocznych balustrad i desek krawężnikowych, a nie wyposażył go nawet w podstawowe środki ochrony indywidualnej, czyli szelki bezpieczeństwa.

„Naraził wyżej wymienionego na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia albo ciężkiego uszczerbku na zdrowiu, w następstwie czego nieumyślnie spowodował upadek ww. pracownika z podestu rusztowania znajdującego się na wysokości 10 m od powierzchni gruntu na ziemię, w wyniku którego wyżej wymieniony, wskutek silnego mechanicznego wielonarządowego urazu ciała, doznał obrażeń skutkujących jego gwałtowną śmiercią na miejscu zdarzenia” - zapisano w akcie oskarżenia.

Ten akurat pracodawca, jak przekazali włocławscy śledczy, przyznał się do popełnienia zarzucanego mu czynu i wyraził skruchę. Skorzystał jednak z przysługującego mu prawa do odmowy złożenia wyjaśnień. Wyraził jednak wolę dobrowolnego poddania się karze - tak to się skończyło.

Pijaństwo na budowie - okolice Chełmna. Więzienie dla szefa

12 października 2018 r. lubiący sobie wypić pan K. pracował na czarno, instalując panele słoneczne na dachu domu. Nie miał przygotowania ani uprawnień do pracy na wysokościach. Nie miał umowy o pracę i na czarno dostawał od szefa firmy różne zlecenia od lat (sam tej umowy nie chciał). Nie miał badań, przeszkolenia etc. Miał za to w organizmie około 1,5 promila alkoholu - jak się potem okazało. Poprzedniego dnia wieczorem pił wódkę, a krytycznego dnia - w pracy - piwo.

Taki to pracownik na rauszu zabrał się za robotę. I to jaka! Zaczął od instalowania rusztowania, do czego absolutnie nie był przygotowany, nawet na trzeźwo. Skończyło się upadkiem z drabiny, poważnymi obrażeniami ze złamaniem kręgosłupa włącznie, paraliżem od pasa w dół i wózkiem inwalidzkim. A dla pracodawcy - pana L.P., będącego właścicielem firmy montującej panele - procesem sądowym. W jego trakcie jeden ze świadków zeznał, że tamtego dnia piwo kupił szef. Dał pracownikowi, a i sam spożył...

Pomijając już te alkoholowe okoliczności, dowodów na zaniedbania pracodawcy Temida, podobnie jak wcześniej prokuratura, znalazła wiele. Sędzia Agata Makowska-Boniecka z Sądu Rejonowego w Chełmnie wyrok skazujący mężczyznę na bezwzględne więzienie ogłosiła 5.11.2019 r. W czerwcu 2020 r. orzeczenie to stało się prawomocne.

64-letni wówczas właściciel firmy uznany został za winnego narażenia życia i zdrowia pracownika, czego skutkiem był ciężki wypadek przy pracy. Kara? 1,5 roku bezwzględnego więzienia oraz 7 tys. zł dla pokrzywdzonego mężczyzny - ty-

tułem częściowego zadośćuczynienia (większej kwoty zawsze dochodzić można na drodze cywilnej).

Jak odnotował sąd w aktach sprawy, ten pracodawca „był już pięciokrotnie karany sądownie, dwukrotnie za przestępstwa prowadzenia pojazdu w stanie nietrzeźwości, za prowadzenie pojazdu wbrew zakazowi sądowemu oraz dwukrotnie za prowadzenie pojazdu w stanie nietrzeźwości i wbrew zakazowi prowadzenia pojazdów. Obecnie odbywa karę 10 miesięcy pozbawienia wolności w innej sprawie karnej”.

Przy okazji tej sprawy natomiast - w ocenie sądu - grzeszył ewidentnie i ciężko. - W ocenie sądu, to właśnie niewykonanie przez oskarżonego ciężących na nim podstawowych obowiązków z zakresu bhp, w tym zwłaszcza brak nadzoru nad pracą S. K. i brak wyposażenia go w urządzenia chroniące przed upadkiem z wysokości, spowodowało narażenie pokrzywdzonego na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia. Oskarżony działał umyślnie, miał świadomość tego, że nie dopełnia ciężących na nim obowiązków, co w części wynika z jego wyjaśnień. Swoim zachowaniem umyślnie naraził pracownika - podsumowała sędzia Agata Makowska-Boniecka, uzasadniając wyrok.

Z kraju. Poparzeni kwasem w hucie szkła i czworo oskarżonych uniewinnionych

Zdarzają się jednak i procesy takie, w których osoby oskarżone ze strony pracodawcy (bo bywają to też przecież kierownicy, brygadziści, zakładowi spece od BHP) przed obliczem Temidy zostają z zarzutów oczyszczeni. Tak stało się choćby w przypadku czworga z pięciorga oskarżonych w głośniejszej sprawie dotyczącej częstochowskiej Huty Szkła. Do tragedii doszło tutaj 24.01.2018 r. Jak ustalili śledczy, dwóch pracowników huty - 30-letni Łukasz i towarzyszący mu 37-latek - zajmowali się przepompowywaniem kwasu fluorowodorowego. Podczas tłoczenia kwasu do pojemnika odmierzającego, doszło do rozerwania tego zbiornika i kwas wydostał się na zewnątrz. Poparzeniom chemicznym ulegli trzej pracownicy. Najciężej poparzony żrącą substancją Łukasz zmarł w szpitalu...

Śledztwo częstochowskiej prokuratury przyniosło w afekcie akt oskarżenia przeciwko aż pięciu osobom - to rzadkość. Odpowiedzialnością, w różnym stopniu, oskarżono właśnie całe grono. Akt oskarżenia skierowano do sądu w 2019 r. Proces był długi. Wyrok w pierwszej instancji zapadł dopiero jesienią 2024 r. Cztery z pięciu funkcyjnych osób jednak uniewinniono.

©©

Marek Twaróg

JAK PORÓWNAĆ PREMIERA DO MADURO I CZUĆ SIĘ DOBRZE



Tomasz Sakiewicz, Izabela Kloc i inni prawicowi działacze porównali w mediach społecznościowych Donalda Tuska do wenezuelskiego dyktatora Nicolasa Maduro. Sakiewicz czy Kloc to tylko symbol pewnej metody - całego sposobu myślenia po prawej. Prawo nie ma znaczenia, bo siła ma znaczenie, media nie mają znaczenia, bo propaganda ma znaczenie, zasady nie mają znaczenia, bo biznes i pieniądze mają znaczenie.

Ustalmy od razu: jeśli pani posłanka Kloc czytała rocznemu wnukowi książkę Kaczyńskiego i była tym chwycona tak bardzo, że pochwaliła się na Facebooku, to dlaczego nie miałyby teraz uważać Tuska za drugiego Maduro? I jeśli Sakiewicz na okładce swojego periodyku dał trzy lata temu Tuska z podpisem „Gott mit uns”, to dlaczego teraz nie miałby marzyć, by Trump porwał polskiego premiera i wywiózł go z kraju?

To oczywista oczywistość - cytując idola Kloc i Sakiewicza - że oboje doskonale odnajdują się w świecie braku zasad, ignorowania prawa, w tym prawa międzynarodowego, zamulania wszelkich zasad etycznych. Donald Trump spadł im z nieba. Już w czasie pierwszej prezydentury nauczył ich wiele: od szantażowania niepokornych wobec ideologicznych wariactw wielkich miast, przez obdarowywanie swoich faworytów funduszami federalnymi, aż po brutalną walkę z imigrantami czy zakwestionowanie zmian klimatycznych. W drugiej dołożył jawną niechęć do Unii Europejskiej czy uległość wobec wschodnich satrapów, a nienawiść do mediów osiągnęła stan patologiczny.

Wypisz-wymaluj program prawicowych radykałów przełożony na swój buraczany sposób na realia polskie, a może wszechpolskie. Wszystko to znaliśmy nad Wisłą w pewnym wymiarze, ale dopiero teraz metoda ta otrzymała legitymację światowej potęgi i ma swojego prawdziwego lidera. Mamy więc ruską propagandę, która wpływa na biedne umysły nie tylko Braunowców i mąci im spokój ducha. Mamy boty i farmy trolli wzmacniające polsko-polską wojnę, mamy głupkowate kanały na YT, które dają głos wariatom, mamy podważanie społecznego konsensusu, mamy wreszcie wynajętych przez Putina bandytów od pożarów i podkładania bomb pod pociągami.

Wszystko to zło, tam mamy wroga. Ale Polskę rozkręcali i rozkręcają śruba po śrubicie także ci, którym przywódca mocarstwa i nasz sojusznik dał gwarancję dobrego samopoczucia. Najpierw pokazał, że można kwestionować każdy porządek, potem nauczył uprawiania pseudopolityki albo realpolityki, a dziś daje glejt na takie poczynania.

Adam Bula

UMRZEMY ZA GRENLANDIĘ CZY ODDAMY KORYTARZ?



Za komuny modny był żart, że PRL powinien wypowiedzieć wojnę USA, a potem natychmiast się poddać. To było nawet dość śmieszne za późnego Gierka i smętną dekadę Jaruzela. Trochę mniej śmieszne jest, że po 40 latach pomyśl, żeby Polska została kolonią Stanów, podobna się połowie naszej tzw. klasy politycznej.

Dla porządku zaznaczmy, że według tej połowy - z grubsza to PiS i Konfederację -wiernopoddających sojusz z Ameryką Trumpa to odpowiedź na zdradzieckie działania tej drugiej połowy - z grubsza to Tusk i cała Koalicja 15 X - którzy robią z Polski kolonię niemiecką, wiernie realizując nad Wisłą interesy „Brukseli”.

Zauważyliście? - nie ma tu w ogóle miejsca na wizję Polski, która rządzi się we własnym interesie i możliwie samodzielnie, bez „mocnych” patronów. Może dlatego między zwolenników „tylko Ameryki” a „Unii przede wszystkim” tak zgrabnie wbija się skrajne skrzydło Korony Polskiej Brauna i rzesza niszowych dotąd, dziwnych ludków z hasłem: „hej, a wielka i słowiańska Rosja? Musimy się po polexie na nowo dogadać z Rosją, bo nasz odwieczny wróg to Ukraińcy”.

Prawdziwe zamieszanie zacznie się, gdy Donald Trump ruszy po Grenlandię. A pewnie ruszy szybciej, niż zamierzał, bo z każdą zastrzeloną jak pies białą kobietą w Minneapolis potrzebował będzie bardziej „sukcesów” za granicą. Błyskotliwa, nokautująca akcja amerykańskich sił zbrojnych w Wenezueli z pewnością dodała też jego administracji animuszu.

No więc tak: jak przyjdzie co do czego, to wysyłamy Formozę na pomoc Duńczykom czy oddajemy znów GRÖM do dyspozycji Amerykanów, by pomogli w lądowaniu ich sił specjalnych. Marynarki lepiej nigdzie nie wysyłajmy, bo dopiero mamy ją mieć. Wojskowi mają cywilne zwierzchnictwo, więc czekają nas wtedy dwa następujące po sobie orędzie do Narodu i nie do końca jest pewne, co w nich usłyszymy. Bo generalnie sprawa dla nikogo nie będzie prosta: NATO nie ma żadnych procedur na wypadek konfliktu zbrojnego między dwoma jego członkami. Po prostu zamiast wałkować art. 5 Paktu - pomoc dla zaatakowanego

członka Sojuszu, wałkowany będzie art. 1, który wojny w rodzinie zabrania.

No ale to przecież nie będzie wojna: Amerykanie nie muszą najeżdżać wyspy, wystarczy, że radykalnie i bez zgody Danii powiększą swój personel wojskowy w bazie lotniczej, którą mają tam od połowy XX wieku.

To oczywiście czysta spekulacja. Znacznie ciekawsze są dziś spekulacje, kto lub co było na pustym tankowcu rosyjskiej floty cieni, który z Iranu płynął sobie do Wenezueli, ale nie dopłynął, tylko nawiewał przez Atlantyk, ścigany przez Amerykanów, którzy ostatecznie zrobili jego abordaż, zanim Rosjanie mogli go skutecznie ochronić na Morzu Barentsa. To musiało być coś więcej wartego dla Rosjan niż cała legenda floty cieni, skoro na koniec próbowali się ratować, wciągając tankowiec pod swoją oficjalną banderę.

Spokojnie - nikt nie ma pojęcia, o co tam chodziło. Jasne za to jest, że Amerykanie weszli w fazę ostrego prężenia mięśni, przekazując komunikat, że mogą robić, co chcą i gdzie chcą. Złośliwi zauważają jednak, że nie dotyczy to tylko Chin i kwestii Tajwanu, bo tam może być akurat zupełnie odwrotnie. Ale pewne jest tylko jedno: po zaledwie tygodniu nowego roku wiadomo już, że to będzie ekstremalnie... ciekawy rok. A jak my jesteśmy na niego gotowi?

Dominik Tarczyński, teoretycznie nadal z PiS, choć już naprawdę mógłby zrzec się polskiego obywatelstwa, publicznie klaszcze agentom służb imigracyjnych ICE z Minneapolis. Patrząc na niego, mam wrażenie, że marzeniem Tarczyńskiego jest zrobienie sobie niedźwiedzia z głębokim całusem z Trumpem, tak jak to udawało się naszym kiedyś z Breżniewem. W każdym razie inni PiS-owcy, którzy w tym czasie wieszczyli Tuskowi, że będzie następny po dyktatorze Wenezueli, to przedszkole.

Trzon partii PiS próbuje w tym czasie coś politycznie ugrać na tragedii zgwałconej policjantki z Piaseczna, doprowadzając szefa MSWiA Marcina Kierwińskiego do stanu, w którym z mównicy sejmowej apeluje: puknijcie się w czoło, pisowskie hieny...

Na szczęście ten pierwszy tydzień nowego roku zakończy spotkanie prezydenta i premiera, na którym ustalą, czy są w stanie cokolwiek między sobą ustalić.

Nie łudźcie się jednak: szaleństwo świata nie jest dość dobrym powodem, by jakiś polski polityk zaczął się kierować nie partyjnym interesikiem, tylko... polską racją stanu. To zwyczajnie za trudne dla ludzi o mentalności wasali.

Niezależnie od emocji politycznych wewnątrz kraju w kwestii bezpieczeństwa będę namawiał prezydenta, żeby wykorzystał, jak najlepiej potrafi, swoje relacje z administracją amerykańską i prezydentem Donaldem Trumpem i dlatego będę proponował, żebyśmy budowali synergię i pełną koordynację

PREMIER DONALD TUSK PO SPOTKANIU Z TW. KOALICJI CHĘTNYCH W PARYŻU

CZYTELNIA

Literatura sf. istniała już w XVII w. za sprawą Cyrana o długim nosie

W Krakowie na Sławkowskiej jest Restauracja Cyrano de Bergerac, specjalizująca się w kuchni francuskiej. Niestety, ani do przepiórek w cieście, ani nawet do ostryg Fine De Claire nie dodają „Tamtego świata” Cyrana de Bergeraca (1619-1655). A mogliby, powieść wysła niedawno w PIW-ie.

Libertyn w kosmosie

Kim był ów Cyrano? A właściwie Hercule Savinien de Cyrano de Bergerac? Filozofem, który uważał się za „prawdziwego” kartezyjnistę, żołnierzem-zabijaką, bazarzem, libertynem, a przy tym pisarzem. I to dość niezwykłym – „Tamten świat” opowiada bowiem o podróży do państw Księżyca i Słońca. W XVII w. mogło to budzić zdumienie.

Zwłaszcza że autor daje się ponieść fantazji w tworzeniu i doborze argumentów. Książka jest pełna humoru, satyry i refleksji nad ludzką naturą oraz kosmosem, który bawi zarówno swoją formą, jak i treścią. Nikogo nie zdziwi, że na kartach powieści „kamienie czują, rośliny są obdarzone instynktem, a zwierzęta rozumieją”.

Ten przeklęty nos

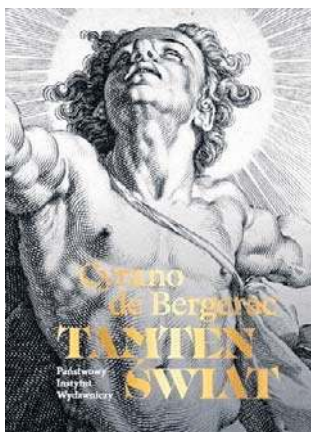
Przewrotna fortuna do spółki z niejakim Edmonema Rostan-dem, złośliwcem i autorem XIX-wiecznej sztuki teatralnej o Cyranie sprawili, że nasz bohater kojarzony jest z najdłuższym nosem w historii, dłuższym nawet od nosa Kleopatry. „Gdybym miał nos taki duży, wnet bym go sobie ściąć kazał do szczytu” – pokpiwają z Cyrana bohaterowie sztuki.

Nawet Kornel Makuszyński nie odmówił sobie ironii: „Sławny poeta, muzyk, fizyk i rębajło Sawiniusz Herkules Cyrano de Bergerac, właściciel największego nosa, jaki kiedykolwiek oglądano, tego nosa, o którym powiedziano, że idzie przed swoim właścicielem o kwadrans drogi i dla którego trzeba będzie po śmierci nosała osobny usypać kopiec. Jak wszyscy południowcy pan Gaston odznaczał się nie umęczoną ruchliwością ciała i kwiecistą barwnością stylu, przemawiał zaś równocześnie: ustami, oczami i rękoma; słowami migał jak szpada, przypominając owego Gaskończyka, który tak grzmiał w liście: »Piszę do ciebie trzymając pistolet w jednej ręce, a szablę w drugiej«”.

De Bergerac nieugięty

Nieco ciekawostek o życiu Bergeraca dorzuca Juliusz Kaden-Bandrowski. O nosie na szczęście nie dowcipkuje: „Pewnego dnia gdy wracał do domu spadła mu na głowę ciężka kłoda drzewa. Odniósł wskutek tego śmiertelną ranę, której już odtąd miał ulec. Rozeszła się nawet wieść, iż miał przyćmiony umysł.

Czternaście miesięcy męczył się w domu jednego z licznych przyjaciół. Nie brakło tu pobożnych usiłowań, celem nawrócenia go, szczególnie ze strony pięknej krewnej Magdaleny Robineau, baronowej z Neuville, która po bohaterskim zgonie męża, podczas oblężenia Arras, przyoblekła szaty zakonne. Umarł Cyrano de Bergerac, zaledwie 36 lat licząc, w późnej jesieni 1655 r.”. **grab**



Cyrano de Bergerac,
„Tamten świat”,
wyd. PIW,
Warszawa 2025,
cena 65 zł

WIEŚCI NIE Z TEJ ZIEMI

KATARZYNA ZILLMAN

Zatańczyła na rurze

Udział polskiej wioślarki w parze z Janją Lesar w ostatniej edycji „Tańca z gwiazdami” wzbudził ogromną sensację. Tym większą, że po programie medalistka olimpijska rozstała się z ukochaną, Julią Walczak, a tancerka ze swym wieloletnim partnerem Krzysztofem Hulbojem. Zaczęto więc coraz głośniej mówić, że Zillman i Lesar są parą. Obie panie wydają się podsycać te plotki. W miniony wtorek wrzuciły do internetu relację ze wspólnego wypadu na trening tańca na rurze. Tancerka i wioślarka próbowały swoich sił pod czujnym okiem instruktorki oraz dopingowały się wzajemnie zza kadru. „I teraz co z tym zrobić?” – zapytała na koniec Lesar fanów.

HELENA ENGLERT

Nie potrzebuje Oscara

W najnowszym wywiadzie dla podcastu „Pierwsza randka” młoda aktorka wróciła do czasów, kiedy wybrała się na kurs do USA. Początkowo planowała zostać za oceanem na dłużej, aby tam spróbować zaistnieć, ale szybko porzuciła te plany. – Zdałam sobie sprawę, że przez pół roku w Stanach nie odbyłam ani jednej wartościowej rozmowy, która wykraczałaby poza „Hi, how are you? Oh my God, you look so amazing. Whatever”. I że ja nic nie przeczytałam, niczego się nie dowiedziałam i że nie tęsknię za nikim, kogo tam poznałam. Po prostu to chyba nie tędy droga, bo ja jestem tu szczęśliwsza. I że po co mi ten Oscar? W sensie jakby w ogóle o tym nie jest życie.

DAWID KWIATKOWSKI

Plakał w garderobie

Podczas niedawnego „Sylwestra z Dwójką” piosenkarz świętował trzydzieste urodziny. Był tort na scenie i wspólne śpiewanie „Sto lat”. Tym bardziej fanów wokalisty zaskoczył wpis, jaki wrzucił w miniony wtorek na Instagram. Na zamieszczonym zdjęciu widać, jak siedzi w garderobie „Sylwestra z Dwójką” i zakrywa dłońmi twarz. Pod fotografią widniał podpis: „Placz



Celebrytka podróżuje obecnie z Rafałem Brzoską wzdłuż Afryki i nawet... posprzątała tam plażę

chłopie w tej garderobie ile wlezie. Tyle lat nie potrafiłeś tego robić, aż w końcu się nauczyłeś, a raczej nauczone cię, gdy leżałeś na kozetce. Całe dzieciństwo w gotowości, w śpięciu, uciekać albo walczyć. I tak się zbierało wszystko, bez jakiegokolwiek ujęcia. A człowiek błędnego pojęcia nie miał, że można. Placzmy, kiedy się chce. Żeby się kiedyś nie przelało”.

OMENAA MENSAH

Sprzątała plażę

Celebrytka podróżuje obecnie z Rafałem Brzoską wzdłuż Afryki, skrzętnie dokumentując swoją wędrówkę w social mediach. W jednym z ostatnich wpisów Mensah zwróciła uwagę na to, że turyści i mieszkańcy Czarnego Łądu nie dbają o ekologię. „To, co mnie bardzo często przeraża w trakcie różnych podróży, to że na wielu plażach, zarówno Afryki, jak i Azji, można zobaczyć takie śmieci, których się nie spodziewamy. Uwaga, tu znalazłam kask – to jest taki minikask dla dzieci, zabawka. No właśnie, edukacja, edukacja, ale cóż... Zbieram, zanoszę. O, grzebień. Trzeba naprawdę zacząć o tym wszystkim myśleć w takich kategoriach, że takie śmieci tu nie powinny być” – stwierdziła.

AGNIESZKA HYŻY

Wylała wiele łez

Podczas niedawnego wypadu na Malediwy prezenterka urządziła instagramową zabawę w pytania i odpowiedzi

z fanami. Kiedy pogratulowano jej udanego związku z Grzegorzem Hyżym, wyznała, że miewali różne kryzysy. „Odbyliśmy wiele trudnych rozmów. Wylaliśmy wiele łez, często w pojedynkę w poduszkę. Tego po prostu nie widać na Instagramie, co nie oznacza, że nie istnieje w prawdziwym życiu. Z szacunku do siebie nawzajem nie wywlekamy takich tematów publicznie, bo po co i na co? Ale nie można też udawać i wciskać ludzium kitu, że od 12 lat jesteśmy w sobie nieustannie zakochani, nie mamy żadnych trosk ani problemów, nigdy się nie kłócimy i że generalnie panuje u nas wieczna idylla” – napisała.

JOANNA KRUPA

Znalazła męża

Ostatnio modelka ogłosiła, że zamierza zbudować swój własny biznes, a jego bazą mają być produkty skierowane do kobiet. Na początek zdecydowała się wejść we współpracę z jedną z popularnych marek i przygotowała autorską kolekcję rajstop. Na Instagramie celebrytka pojawiło się wideo zza kulis sesji, podczas której powała w owych rajstopach i lakierowanych kozakach. Muzyczny podkład stanowiła piosenka z refrenem „Where Is My Husband?”, czyli „Gdzie jest mój mąż?”. Jakby w odpowiedzi na to pytanie Krupa podpisała nagranie: „Nie szukam męża, po prostu podążam za trendem. Mój mąż to moja praca, moja kariera i szczerze mówiąc... świetna para rajstop”.

HOROSKOP

Wodnik (20.01 - 18.02)

Energia sprzyja działaniu, ale zachowaj umiar. Horoskop dzienny zapowiada, że krótka rozmowa przyniesie inspirację oraz spokój.

Ryby (19.02 - 20.03)

Skup się na porządkach. Horoskop na dziś mówi, że mały sukces doda Ci pewności, a wieczór sprzyja relaksowi.

Baran (21.03 - 19.04)

Dzień sprzyja aktywności. Horoskop dzienny na piątek mówi, że odważna decyzja przyniesie postęp, ale pamiętaj też o odpoczynku.

Byk (20.04 - 20.05)

Spokój i konsekwencja pomogą dziś rozwiązać drobną sprawę. Horoskop dzienny radzi zaufać intuicji.

Bliźnięta (21.05 - 21.06)

Rozmowa otworzy nowe możliwości, ale horoskop na dziś sugeruje, by nie obiecywać zbyt wiele nikomu.

Rak (22.06 - 22.07)

Emocje będą silne, lecz horoskop dzienny na piątek zapowiada, że szczerść wobec bliskich przyniesie ulgę i poczucie bezpieczeństwa.

Lew (23.07 - 22.08)

Twoja pewność siebie będzie przyciągać uwagę. Horoskop dzienny radzi wykonać dzień na twórcze działania i planowanie.

Panna (23.08 - 22.09)

Porządek w myślach pomoże uniknąć nieporozumień. Horoskop na dziś zapowiada, że drobny gest poprawi relacje z innymi osobami.

Waga (23.09 - 22.10)

Harmonia jest w zasięgu ręki. Horoskop dzienny na piątek to wskazówka, by wygospodarować czas na rozmowę i zadbać o własne potrzeby.

Skorpion (23.10 - 21.11)

Intensywny dzień sprzyja przełomom. Horoskop dzienny radzi zachować dyskrekcję i działać spokojnie.

Strzelec (22.11 - 21.12)

Obowiązki wymagają skupienia, lecz wysiłek zostanie doceniony. Horoskop na dziś zapowiada, że wieczór będzie sprzyjał regeneracji.

Koziorożec (22.12 - 19.01)

Nieszablonowe pomysły spotkają się z zainteresowaniem. Horoskop dzienny na piątek wróży, że współpraca przyniesie korzyści.

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 33 tworzą rozwiązanie – aforyzm Krzysztofa Bilicy.

Którego meczu piłkarzy Widzewa kibice nie zobaczą?

Dariusz Kuczmera
d.kuczmera@dziennik.lodz.pl

Na dziś zaplanowane są pierwsze zajęcia podczas obozu Widzewa w tureckim Belek.

Widzewiacy zostali zakwaterowani w Hotelu Bellis Deluxe w Belek i w trakcie obozu będą trenować na jego boiskach.

Czerwono-biało-czerwoni rozegrają również cztery spotkania kontrolne: 12 stycznia z Universitate Cluj (7. miejsce w rumuńskiej SuperLidze), 16 stycznia z Paksi FC (4. miejsce w węgierskiej Fizz Lidze) oraz 22 stycznia z Banikiem Ostrawa (14. miejsce w czeskiej Chance Lidze) i ekstraklasowym Zagłębiem Lubin.

Pierwszy rywal łodzian w Antalyi grał z Fatih Karagümrük i przegrał 1:2.

Na obóz pojechało 27 piłkarzy. W kadrze nie znaleźli się Pape Meissa Ba i Polydefkis Volanakis, których miejsce zajęli młodzi pomocnicy: Igor Busz oraz Kuba Nawrocki.

Trzy pierwsze mecze będą transmitowane na antenie klubowej telewizji WidzewTV. Mecz z Zagłębiem kibice nie zobaczą.

Kadra Widzewa na zgrupowanie w Belek:

Bramkarze: Antoni Błocki, Veljko Ilić, Maciej Kikolski, Jan Krzywański

Obrońcy: Stelios Andreou, Christopher Cheng, Dion Gallapeni, Samuel Kozlovsky, Marcel Krajewski, Peter Therkildsen, Ricardo Visus, Mateusz Żyro

Pomocnicy: Fran Alvarez, Angel Baena, Osman Bukari, Igor Busz, Szymon Czyż, Mariusz Fornalczyk, Marek Hanousek, Lukas Lerager, Kuba Na-



FOT. KRZYSZTOF SZYMCAK

Peter Therkildsen ostatnio leczył kontuzję, ale wyjechał na zgrupowanie do Belek. W przyszłym sezonie powinien być silnym punktem drużyny Widzewa

wrocki, Bartłomiej Pawłowski, Lindon Selahi, Julian Shehu
Napastnicy: Sebastian Berger, Antoni Klukowski, Andi Zeqiri

23 stycznia drużyna wróci do Polski, a w nowym tygodniu rozpocznie przygotowania bezpośrednio do meczu z Jagiello-

nią Białystok, który zaplanowany jest na 31 stycznia. Mecz w Łodzi zacznie się o 17.30.

Poznaliśmy wyniki najnowszego raportu Instytutu Monitorowania Mediów (IMM). Analiza pokazuje, że o ile sukcesy budują zasięgi, o tyle na platformach X i Facebook to porażki

oraz kryzysy najsilniej aktywizują kibiców do dyskusji.

Eksperci IMM podsumowali aktywność kibiców na oficjalnych profilach klubów PKO BP Ekstraklasy w trakcie rundy jesiennej. Bezdyskusyjnym liderem zestawienia z wynikiem ponad 7,75 mln interakcji (suma re-

akcji, komentarzy i udostępnień) został Lech Poznań. Podium uzupełniają Legia Warszawa (4,38 mln) oraz Jagiellonia Białystok (4,37 mln). Dalej jest Górnik Zabrze (3,76 mln) i Widzew Łódź (3,27 mln). Najmniejszą liczbę interakcji zdobył klub z Niecieczy (0,29 mln).

Liderzy platform: gdzie najmocniej bije serce kibiców w sieci?

W rundzie jesiennej widać wyraźną dominację poszczególnych klubów na konkretnych platformach: Facebook i Instagram: Lech, X (Twitter): Legia, TikTok: Jagiellonia Białystok, YouTube: Motor Lublin

Klub z Lublina odpowiada za najbardziej zasięgowy materiał video – YouTube Short z treningu akademii klubu (strzały głową do kosza), który wygenerował 59,5 milionów wyświetleń oraz ok. 0,5 mln interakcji.

© P

0011458312

Z ogromnym smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci



Mistrza Cukiernictwa

Józefa Balkowskiego

wieloletniego niezwykle zaangażowanego
Członka Cechu Piekarzy i Cukierników w Gdańsku

Rodzinie i Bliskim

składamy serdeczne wyrazy współczucia
Zarząd, Członkowie oraz Pracownicy
Cechu Piekarzy i Cukierników w Gdańsku



0011458970

Z głębokim żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci
naszego Kolegi

Mariusza Steffensa



Wyrazy szczerego współczucia
dla Rodziny

składa

zespół Lekarzy
z Kliniki Anestezjologii i Intensywnej Terapii
UCK Gdańsk

Łączymy się w bólu i żałobie.

0111459735

Z żalem zawiadamiamy,
że dnia 4 stycznia 2026 roku odeszła do Pana



Helena Drozd

lat 80

Msza św. żałobna odprawiona zostanie
13 stycznia 2026 roku o godzinie 11:00
w Kościele św. Jakuba w Gdańsku - Oliwie.

Pogrzeb odbędzie się tego samego dnia
o godzinie 13:00 na Cmentarzu Łostowice.



W smutku pogrążony
Brat z Rodziną

REKLAMA 0011246076

dziennikbaaltycki.pl/nekrologi

Nekrologi, kondolencje

przyjmowane są od poniedziałku do piątku
w godzinach 8.30-15.30

- bezpośrednio w Biurze Ogłoszeń,
Gdańsk, Połęż 3, tel. 58/300 32 11
- drogą mailową: nekrologi@prasa.gda.pl
- poprzez Internetowe Biuro Ogłoszeń
ibo.polskapress.pl
- w zakładach pogrzebowych
współpracującymi z Dziennikiem Bałtyckim

- PPU Zielen, Gdańsk, Partyzantów 76
www.zielen.pl, tel. 58/341-20-71 do 73
- ZDiZ w Sopocie Cmentarz Komunalny, Malczewskiego 31
tel. 58/551-03-50, biuro@cmentarz.sopot.pl
- Zarząd Cmentarzy Komunalnych w Gdyni
ul. Witomińska 76, tel. 58/660-89-50, www.zck.pl

 nekrologi.net

AUTOREKLAMA

nasza HISTORIA



Nasza historia
nigdy się nie powtarza

naszahistoria.pl

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenie drobne?

Telefonicznie: 800-472-852, 58 300 32 17 i zapłać kartą kredytową
Przez internet: ibo.polskapress.pl
W Biurze Ogłoszeń - Gdańsk, Połęż 3, tel. 58/3003 211

Nieruchomości	Usługi	INNE
DOMY - KUPIĘ	BUDOWLANO-REMONTOWE	NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%, K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.150 zł/ tona, 500-669-621
KUPIĘ udziały w nieruchomościach, cała Polska, 518-878-010	Sufity Podwieszane: Napinane, Kasetonowe, Rastrowe, Gipsowe, Ścianki Gipsowe "Sufitex" 604-944-094, 58-558-25-65 www.sufitex.pl	Turystyka
LOKALE UŻYTKOWE - DO WYNAJĘCIA	ŻALUZJE. Rolety 501-005-692	KRAJ
INNE	OGRODNICZE	GÓRY
KWSP "Społem" w Malborku posiada lokal gastronomiczny przy ul. Piłsudskiego 7 przeznaczony pod wynajem na działalność gastronomiczną. Powierzchnia lokalu - 172 m². Lokal wyposażony jest w urządzenia gastronomiczne. Informacje szczegółowe udzielamy pod nr tel. - 603 758 176.	WYCINKA drzew i samosiej tel. 723-894-857	Beskidy, turnus Wielkanocny, 1400 zł, w górach koło Wadowic, tel.: 501-642-492
	Rolnicze	Różne
	ZWIERZĘTA HODOWLANE	
	KURKI nioski z jajem dowóz 600539790	GOTÓWKA za KSIĄŻKI, 881-934-948

Na Wielkiej Krokwi fani skoków podziękują Kamilowi Stochowi

Artur Bogacki
artur.bogacki@polskapress.pl

SKOKI NARCIARSKIE. W sobotę i niedzielę w Zakopanem odbędą się konkursy PŚ. Dla Kamila Stocha ma to być ostatni występ w prestiżowym cyklu na Wielkiej Krokwi.

Zakopane w historii polskich skoków to miejsce wyjątkowe i symboliczne. Po latach sukcesów Adam Małysz w 2011 r. odniósł tam ostatnie zwycięstwo w karierze. W tej samej edycji swój pierwszy triumf święcił młody wówczas Kamil Stoch, co było pierwszym znaczącym krokiem do niesamowitej kariery.

Piętnaście lat później Stoch po raz ostatni wystąpi na Wielkiej Krokwi. Latem zapowiedział, że po tym sezonie kończy karierę. Zawody w sobotę i niedzielę będą więc jego pożegnaniem z Zakopanem. Dla kibiców to okazja, aby po raz ostatnim go dopingować i podziękować mu za wiele pięknych lat,

obfitujących w emocje i sukcesy. W tym sezonie prezentuje w miarę równą formę, lecz pułap osiągnięć to druga dziesiątka, najlepsze było 12. miejsce. Co nie znaczy, że na „swojej” skoczni nie będzie w stanie poprawić tego wyniku. No bo jak pożegnać się z kibicami w Polsce, to najlepiej za przytupem.

Nie zmienia to faktu, że niewiele szans na sukces wypada przyznać komuś innemu z naszej kadry. W tym sezonie liderem reprezentacji jest Kacper Tomasiak. Debiutujący w PŚ 19-latek w klasyfikacji generalnej jest 11., punktował niemal we wszystkich startach, zajmował miejsca w czołowej „10” (najlepszy rezultat to 5. lokata). Na taki powiew świeżości nasze skoki długo czekały. A nawiązując jeszcze do „magii Zakopanego”, może na Wielkiej Krokwi nastąpi kolejne symboliczne przekazanie pałeczki - w ostatnim konkursie Stocha w tym miejscu swoje pierwsze podium może wywalczyć Tomasiak. A byłoby



Kamil Stoch w Zakopanem wygrał pięć konkursów indywidualnych, raz był trzeci. Pod względem liczby zwycięstw dorównuje mu tylko Austriak Gregor Schlierenzauer

to coś niesamowitego, gdyby na nim stanęli obok siebie!

Ostatni raz na „pudle” w PŚ w Zakopanem był Dawid Kubacki (2. w 2023 r.). Teraz jeszcze musi walczyć o miejsce w kadrze

na te zawody. Wystąpić może pięciu naszych skoczków, a trener Maciek Maciusiak wcześniej ogłosił, że skład najprawdopodobniej poda dopiero po piątkowych treningach. Pewniakami

raczej są Tomasiak, Stoch i Maciej Kot, najrówniej ostatnio skaczący nasi zawodnicy. Poprzednio w PŚ startowali Kubacki i Paweł Wąsek, a zastąpić któregoś z nich może Piotr Żyła, odesłany

w trakcie Turnieju Czterech Skoczni do kraju na treningi.

Listę faworytów do zwycięstwa w Zakopanem otwiera Domen Prevc. Słoweńiec w tym sezonie jest bezapelacyjną gwiazdą. Od dawna prowadzi w klasyfikacji Pucharu Świata, sukcesywnie powiększa przewagę. Z 15 rozegranych konkursów indywidualnych tylko w dwóch nie był na podium (jeszcze w listopadzie, na początku cyklu). Odnosił już 7 zwycięstw, w tym 5 z rzędu, a niektóre z nich były bardzo wyraźne.

W Zakopanem Prevc nie będzie miał kilku mocnych rywali. Ze startu zrezygnowali choćby Japończycy Ryoyu Kobayashi i Ren Nikaido, czy Austriacy Daniel Tschofenig i Stefan Kraft. Po stanowili skupić się na przygotowaniach do kolejnych zawodów.

Program PŚ w Zakopanem. Sobota: 12 - sesja treningowa, 14:15 - kwalifikacje do konkursu indywidualnego, 16:10 - konkurs duetów (super-team); **niedziela:** 15 - seria próbna, 16 - konkurs indywidualny. ©©

Hurkacz i Świątek pełni wiary przed ćwierćfinałem United Cup

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

W dwóch ostatnich edycjach United Cup Polsce brakowało jednego zwycięstwa do zdobycia trofeum. Iga Świątek i Hubert Hurkacz są sercem i duszą reprezentacji od początku turnieju.

W 2023 roku Polska przegrała w półfinale z USA, a w dwóch kolejnych latach dotarła do finału. Mecze o tytuł przegrała, kolejno, z Niemcami i USA.

W środę duet Iga Świątek i Hubert Hurkacz z powodzeniem doprowadził Polskę do fazy pucharowej, w której w ćwierćfinale zmierzy się z gospodarzami turnieju - Australią.

Fazę grupową obecnej edycji Biało-Czerwoni przeszli w świetnym stylu, wygrywając po 3:0 z Niemcami i Holandią. Dużą w tym zasługą Hurkacza, który w Sydney wrócił po ponadpółrocznej przerwie spowodowanej kontuzją kolana.

- Nie wiedziałem, czego się po sobie tutaj spodziewać. Oczywiście, generalnie oczekujemy wiele, ale rzeczywistość mogła okazać się inna. Wiedziałem, że jestem gotowy. Nadal jednak potrzebuję czasu, żeby się poprawić i rozwinąć -

powiedział „Hubi” po awansie do ćwierćfinału.

Po tym, jak Hurkacz potwierdził swoje zwycięstwo nad Alexandrem Zverevem w swoim powrocie do rozgrywek ATP, pokonując Holendra Tallona Griekspoor'a i oficjalnie zapewniając sobie awans jako zwycięzca grupy F, Iga Świątek z łatwością pokonała Suzan Lamens w dwóch setach.

- Byłam bardziej precyzyjna w pracy nóg. Myślę więc, że to była poprawa w porównaniu z poprzednim meczem. „Hubi” również zagrał niesamowicie, więc mogłam wyjść na kort z dużą pewnością siebie, bo on już w pewnym sensie wprowadził nas do ćwierćfinału. Mogłam po prostu grać swobodnie - oceniła druga rakietka świata.

Gospodarze czekają w ćwierćfinałach, a Alex de Minaur zapewni Hurkaczowi kolejną szansę sprawdzenia się z rywalem z pierwszej dziesiątki w jego pierwszym występie od czasu operacji prawego kolana w lipcu ubiegłego roku.

- Prawdopodobnie jest blisko, a może nawet najwyższej w rankingu, jaki kiedykolwiek miał. Jest naprawdę szybki, porusza się po korcie niesamowicie dobrze. To będzie więc dobre wyzwanie, zwłaszcza przed australijską publiczno-

ścią. Będzie świetna zabawa i nie mogę się doczekać meczu - powiedział Hurkacz, który ma bilans 1-2 z De Minaurem.

Z dwoma zawodnikami z czołowej dziesiątki rankingu na jednym turnieju Hurkacz wygrał ostatnio w 2022 roku w Halle. Wówczas w ćwierćfinale pokonał dziewiątego Kanadyjczyka Felixa Augera-Aliassime'a, a w finale lidera zestawienia Rosjanina Daniila Miedwediewa.

Świątek miała na razie teoretycznie słabsze rywalki, ale 39. w rankingu Niemka Eva Lys sprawiła jej sporo problemów. Ostatecznie Polka wygrała 3:6, 6:3, 6:4. Holenderkę Suzan Lamens (97. WTA) pokonała natomiast 6:3, 6:2.

W piątek Iga rozpocznie spotkanie z Mayą Joint, 19-letnią australijską tenisistką numer 1.

W 2025 roku Joint zdobyła dwa tytuły WTA i awansowała

na 32. miejsce w rankingu, jako jedna z wielolu debutantek w swojej karierze. Z powodu choroby nie brała udziału w meczu otwarcia Australii z Norwegią, a we wtorek przegrała w swoim debiucie w 2026 roku z Czeszką Barborą Krejčíkovą.

Wspominając podobny moment swojej kariery, Świątek stwierdziła, że nigdy nie uważała się za wschodzącą gwiazdę, czekając na przeło-

nowy moment jako mistrzyni Rolanda Garrosa w 2020 roku.

- Po prostu (starałam się) grać jak najlepiej, będąc outsiderką. Szczepie mówiąc, to była niezła zabawa. Tęsknię za tamtymi czasami. Pamiętam, jak grałam przeciwko Ash (Barty). Czułam, jak dobra jest, kiedy była numerem jeden i tak solidna. Naprawdę mnie zainspirowała. Bycie outsiderem i bycie wschodzącą gwiazdą z tą świeżością, którą w sobie nosisz, to wspaniałe uczucie. To moment, w którym najbardziej poprawiasz swoją grę - wspominała sześciokrotna triumfatorka Wielkiego Szlema.

Świątek uważa, że Joint jak dotąd „radzi sobie świetnie”. Mimo że ceni sobie jej inteligencję i skromność, 24-latkę ma jednak w Sydney sprawy do załatwienia.

- Życzę jej wszystkiego najlepszego, ale nie za dwa dni - powiedziała z uśmiechem Iga.

Mecz rozpocznie się o godz. 7.30 czasu polskiego od pojedynku Świątek z Joint. Po nich na kort wyjdą Hurkacz i de Minaur, a na zakończenie rozegrany zostanie mikst.

Na zwycięzców tego ćwierćfinału czekają już brońcy tytułu Amerykanie. W drugim półfinale Szwajcaria zagra z Belgią. ©©



Hubert Hurkacz i Iga Świątek po wygranych meczach w grupie z Niemcami i Holandią poprowadzą reprezentację Polski w meczu ćwierćfinałowym United Cup z Australią

SPORT

www.sportowy24.pl

KOSZYKÓWKA

Problemy AMW Arki Gdynia przed dzisiejszym meczem. Złamany obojczyk uniemożliwia grę Einarasowi Tubutisowi. Pod wielkim znakiem zapytania stoi też występ Kamila Łączyńskiego, który narzeka na uraz mięśniowy. To mocno ogranicza rotację drużyny, która dzisiaj o godz. 20.15 w hali Polsat Plus Arena Gdynia podejmie Arrivę Lotto Twarde Pierniki Toruń. (raf)



FOT. P. ŚWIDERSKI

SIATKÓWKA

Gdańsk kontra Suwałki. Dzisiaj o godz. 20 w hali Ergo Arena drużyna Energi Trefla Gdańsk spróbuje wygrać kolejne spotkanie PlusLigi. Jej rywalem będzie Ślepsk Malow Suwałki. (raf)

Po Serbii poznamy kadrę na Euro

Rafał Rusiecki

rafal.rusiecki@polskapress.pl

PIŁKA RĘCZNA. Dwa nieoficjalne mecze towarzyskie z Serbią przed naszą reprezentacją w Centralnym Ośrodku Sportu - Cetniewo we Władysławowie. Rozegra je w sobotę i niedzielę.

Tydzień pracy za szczypiornistami reprezentacji Polski w Centralnym Ośrodku Sportu - Cetniewo we Władysławowie. Podopieczni hiszpańskiego selekcjonera Joty Gonzaleza kują formę przed występem na mistrzostwach Europy, które rozpoczną się dla nich w Szwecji. Biało-czerwoni rywalizować będą w grupie F, w której zmierzą się z Węgrami, Islandią oraz Włochami. Spotkania fazy grupowej zostaną rozegrane w Kristianstad kolejno w piątek, 16 stycznia (godz. 20.30), w niedzielę, 18 stycznia (godz. 18.00) oraz we wtorek, 20 stycznia (godz. 18.00). Do rundy głównej awansują dwa najlepsze zespoły.

Na zgrupowanie we Władysławowie powołanych zostało 20 zawodników. Wśród nich znalazło się trzech szczypiornistów

PGE Wybrzeża Gdańsk. Są to Mikołaj Czapliński, Tomasz Gębala oraz Wiktor Tomczak. Każdy z nich stanie przed szansą napisania sportowej historii podczas mistrzowskiego turnieju.

- Wbrew pozorom, nie ma za dużo czasu, aby wytłumaczyć i wytrenować z zawodnikami wszystkie szczegóły dotyczące naszego pomysłu na grę. Będę chciał przekazać zawodnikom konkrety, które będą stanowić podstawę. Dlatego w pierwszych dniach będziemy pracować nad ogólnymi założeniami w ataku i w obronie. Potem będziemy koncentrować się na rywalach, jacy czekają nas w fazie grupowej i przygotowywać plan na te spotkania. Z czasem będzie więcej czasu na kreowanie własnego stylu gry - wyjaśnia Jota Gonzalez, selekcjoner reprezentacji Polski.

Hiszpan, który naszą drużynę narodową prowadzi od kwietnia 2025 roku, na EHF Euro 2026 zabierze 18 piłkarzy ręcznych.

- Od razu ćwiczymy wszystkie nasze ruchy i wszystkie zagrywki, które będziemy robili. Jest dużo pracy, jest intensywny



FOT. MICHAŁ KIRSZLING / COS CETNIEWO

Nasza drużyna narodowa we Władysławowie przygotowuje się do mistrzostw Europy

nie. Każdy jest mocno zaangażowany, zmotywowany. Bardzo fajnie to wygląda z takim nastawieniem chłopaków i sztabu. Ja się czuję bardzo dobrze. Znam tych chłopaków, a jedyne, lekkie problemy to zgranie. Ale to właśnie wyra-

biamy na treningach. Fajnie być znowu z tymi chłopakami na obozie - mówi Tomasz Gębala, 30-letni rozgrywający PGE Wybrzeża oraz reprezentacji Polski.

Kluczowy będzie ten weekend. W sobotę i niedzielę Po-

lacy rozegrają nieoficjalny dwumecz z Serbią. Zgodnie z decyzjami sztabów trenerskich obu reprezentacji te spotkania zostaną rozegrane bez udziału publiczności oraz bez transmisji telewizyjnej. Zostaną opublikowane jedynie wyniki.

A po zakończeniu meczów kontrolnych selekcjoner Jota Gonzalez zdecyduje o wyłonieniu ostatecznej „18”, która poleci na mistrzostwa Europy.

- Jestem zadowolony z kształtu drużyny. Oczywiście w świecie idealnym chciałbym liczyć na wszystkich możliwych zawodników, ale kontuzje są w sporcie nieodłączne. Jestem jednak przekonany, że ten zespół, który pojedzie na mistrzostwa, będzie zdolny do walki i rywalizacji o awans z grupy - argumentuje trener drużyny narodowej.

Reprezentacja Polski do Szwecji wyleci w środę, 14 stycznia 2026 roku. Dwa dni spędzi na treningach w Kristianstad. Turniej finałowy rozpocznie 16 stycznia 2026 roku o godz. 20.30 meczem z Węgrami.

Poza Szwecją współgospodarzami EHF Euro 2026 są także Dania i Norwegia. Na mistrzostwach Starego Kontynentu w 2024 roku w Niemczech Polska zajęła 16. miejsce. Mistrzami zostali Francuzi, którzy w wielkim finale ograli 33:31 Duńczyków. Brąz powędrował do Szwedów, którzy uporali się z Niemcami (34:31).

W zimowym okienku transferowym Lechia nie chce nikogo wypuścić

Paweł Stankiewicz

pawel.stankiewicz@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Pięć milionów euro za Tomasza Bobacka, trzy za Camilo Menę czy dwa za Iwana Żelizkę - na tyle kluczowi piłkarze Lechii Gdańsk wyceniani są przez portal Transfermarkt.

Lechia liczy, że za tych trzech piłkarzy dostanie dużo więcej niż dziesięć milionów euro. W klubie słychać, że zimą ci zawodnicy nie są na sprzedaż.

Tomasz Bobek musiał na siebie zwrócić uwagę menedżerów klubów zagranicznych. 24-letni napastnik ze Słowacji jest piłkarzem dynamicznym, przebojowym i skutecznym. Jesienią strzelił dla biało-zielonych w sumie 14 goli, a do tego dołożył trafienie w meczu reprezentacji, w swoim debiucie, na wagę zwycięstwa nad Irlandią Północną w eliminacjach do mistrzostw świata.

Pięć milionów euro za Bobacka, to wycena portalu Transfermarkt, ale w Lechii liczą na znacznie lepszy zarobek. Nawet na kwotę w okolicach dziesięciu milionów euro. Co ważne, sam Tomasz nie pali się do tego, żeby odchodzić już teraz i sumiennie przygotowuje się do gry w Lechii w rundzie rewanżowej w PKO Ekstraklasie, a prezes Paolo Urfer też nie chce teraz sprzedawać swojego najlepszego zawodnika.

Ostatnio pojawiły się pogłoski, że angielski Sunderland chce dać za Bobacka siedem milionów euro. Jeśli to ma być oferta, to bardzo mocno utajniona, bowiem do Lechii nic takiego nie wpłynęło. Zresztą, jak ustaliliśmy, nie ma żadnej oficjalnej propozycji transferowej dla słowackiego napastnika. Niektóre kluby najpierw sondują możliwość zakupu Bobacka, ale od raz dostają jasną odpowiedź z Gdańska: „nie na sprzedaż”.



FOT. PRZEMYSŁAW ŚWIDERSKI

Tylko oferta z gatunku „nie do dorzucenia” spowoduje, że Tomasz Bobek tej zimy wyprowadzi się z Gdańska

Jednocześnie Lechia cały czas prowadzi negocjacje z Bobkiem, aby przedłużyć z nim kontrakt, który jest ważny do końca czerwca 2027 roku. Sam piłkarz może liczyć na dużą podwyżkę wynagrodzenia. Nowa umowa nie sprawi, że Słowak przez najbliższych kilka lat będzie grać w zespole biało-zielonych, ale ma podbić cenę za transfer tego piłkarza. Rozmowy są w toku i trzeba jeszcze poczekać na decyzję Bobacka, czy podpisze nowy kontrakt z Lechią.

Nie tylko na Bobku klub z Gdańska chce zarobić duże pieniądze. W Lechii też liczą na to, że na transferach Meny i Żelizki zarobią więcej niż odpowiednio trzy i dwa miliony euro, bo tak wycenia ich Transfermarkt. Dla Lechii te kwoty są zbyt niskie, a prezes Paolo Urfer z pewnością będzie bardzo twardym negocjatorem. Wszyscy jednak nie są na sprzedaż w zimowym oknie transfero-

wym. Musiałaby się pojawić oferta z gatunku nie do odrzucenia. Na to jednak się nie zapowiada, a Lechia chce wosną walczyć o jak najwyższe miejsce w tabeli i nie chce w trakcie sezonu tracić kluczowych piłkarzy. Trzeba jednak dodać, że konkretnych ofert transferowych dla Meny i Żelizki także w klubie nie ma.

Oczywiście, sprzedaży zawodników nie da się uniknąć i transfery na pewno będą ważnym elementem budżetu klubu. Do nich dojdzie zapewne latem, w przerwie między sezonami. Dla Lechii byłoby dobrze, żeby Słowacja awansowała na mistrzostwa świata i żeby Bobek pokazał się na mundialu. To jeszcze podniosłoby wartość tego piłkarza. Trzeba jednak mocno brać pod uwagę, że Tomasz latem zostanie sprzedany, a Lechia zarobi naprawdę dobre pieniądze, które też pomogą stabilizować budżet klubu.